ROK I. Lwów dnia 15. lipca 1887. Zeszyt 14.



Wydawcy i redaktorowie: Stanisław Błotnicki i Adolf Inlender.

POWIEŚĆ.

PIEKIEŁKO

POWIEŚĆ

na tle stosunków współczesnych

napisał

MICHAŁ WOŁOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Jednym rzutem oka zrozumiał sytuację za to Trzaska i znów z niepokojem dziwnym zadrgało mu serce. Przed chwilą słyszał inne wyznanie, to które przeczuwał tutaj musiało go zaboleć. Mało znał syna; wiedział aż nadto dobrze, jak często jedno uczucie może obalić inne; jak natura zła i przewrotna szlachetną oszukuje i na manowce sprowadza. Mierzył też oczyma piękną panię, która tak łatwo zwyciężać się nie pozwoliła i ten badawczy wzrok wytrzymała ze spokojem. Karol tylko spuścił oczy ku ziemi, gdy Trzaska przez chwilę i na nim swój wzrok bystry zatrzymał.

— Ciekawą musieliście państwo ze sobą prowadzić rozmowę — po niejakiej chwili, zwykłym swym głosem, który zawsze w sobie zawierał sporą dozę sarkazmu, zawołał Trzaska. Karol milczał ale piękna pani kłamstwo znalazła na swych ustach bardzo szybko, tak szybko, jak przestroiła swoją twarz z gwałtownego wzruszenia w obojętność tuzinkową.

— Tak — odparła zimno, właśnie objaśniałam pana Liwskiego w kwestjach tyczących się jego poselstwa; i my kobiety coś w tej sprawie przecież powiedzieć umiemy.

Tym razem i Karol spojrzał na piękną panię a gdyby Trzaska mógł był zajrzeć do jego myśli i serca, niezawodnie pozbyłby się tego przykrego wrażenia, jakie na nim spotkanie w tem miejscu tych dwojga ludzi wywarło.

W tej chwili Karol ujrzawszy tę nagłą metamorfozę Szydłowieckiej, uczuł dziwny wstręt do niej.

Wstała ona szybko i z pewnym właściwym sobie grymasem, zawołała swobodnie:

— A no, trudno panie Liwski, kiedy pan Trzaska taki jest natarczywy, iż nam nie pozwala prowadzić dalej ciekawej rozmowy, to chodźmyż już wypić tę stygnącą herbatę. Tak każą konwenanse życia — nieprawdaż?

Wyraz »konwenanse« wymówiła z pewnym naciskiem.

Wrażenie tego nacisku jednak nie osiągnęło zamierzonego celu. Karol podał Szydłowieckiej rękę, ale gdy uczuł, jak ją ku swemu ciągnęła ramieniu, odsunął się od niej z lekka i kroku w stronę werandy przyspieszył.

Tutaj z wyjątkiem jednego pana Józefa jakoś wszyscy potracili humor. Każdy schylony nad szklanką herbaty zdawał się poświęcać specjalnie uwagę swoją studjom — białego obrusa, pokrywającego stół i cały był skupionym w sobie. Pan

Józef dowcipkował, przyspiewywał rozmaite aryjki z oper, przycinki pod adresem Zuzi i Karola posyłał, co naturalnie nie mogło się podobać jenerałowej.

I całe to zebranie byłoby się zaraz po herbacie rozeszło, gdyby nie zjawienie się gromady małomiasteczkowych polityków, którzy tutaj przywędrowali tworząc pewnego rodzaju deputacje. Z ludzi tych możnaby niezawodnie złożyć całą menażerję. Każda twarz bowiem przypominała ci jakiegoś czworonoga, tak, iż przy tej obserwacji można by powiedzieć, że zostali stworzeni nie na obraz i podobieństwo Boże, ale na obraz i podobieństwo zwierząt.

Na czele tej deputacji szedł pan Wincenty Bąbalewicz, podobno dawny obywatel, który obecnie żył z kapitałów własnych, jak się wyrażał, a jak złośliwy Trzaska komentował — na cudzej pieczeni.

Z twarzy przypominał nieco buldoga. Obwisłe policzki, starannie wygolone, nadawały leniwy wyraz jego twarzy, oczy ruchliwe i małe czyniły wrażenie dwóch węgli żarzących się w ciemnościach. Nos kartoflowy, czoło nizkie, głowa krótka przystrzyżona, korpulencja kolosalna składały się na postać pana Bąbalewicza, który w miasteczku używał opinii jednego z najgłębszych polityków. Był jedną z figur, bez której żadne wybory, żadna zabawa, kolacja składkowa lub obiadek jubileuszowy obejść się nie mogły.

Bąbalewicz przy tem wszystkiem lubił nadmiernie używać gestów, co jeszcze więcej powiększało komiczne wrażenie, jakie wywoływał swojemi mowami. Był to typ do dziś dnia jeszcze znany dokładnie na galicyjskim gruncie, znający się na wszystkiem i o wszystkiem rad dysputujący.

Gdyby Bismark lub Napoleon chcieli byli słuchać pana Bąbalewicza, karta Europy dzisiaj inaczejby wyglądała — a na świecie panowałby taki miły porządek, o jakim żadnemu z potentatów świata niezawodnie dotąd ani się śniło. Ściśle rzecz biorąc, na pana Bąbalewicza nikt nie liczył, miał on bowiem w sobie tę dyplomatyczną giętkość, która pozwalała mu, na zawołanie, stosownie do okoliczności, zmieniać swe polityczne programy, w każdym razie jednak starano się o jego względy, bo dużo mówił — a ludzie języka, już od czasów sejmików rzeczypospolitej cieszyli się u nas wielką estymą. Zresztą dzieje się to samo wszędzie, nie tylko u nas, a więc dziwić się nawet temu nie można..

Tuż koło pana Bąbalewicza, kroczył sztywnie z pewnym obliczonym z góry efektem, luminarz politycznego świata w R., pan hr. Drzyński.

To także typ swojego rodzaju.

Jeden rzut oka na tę sztywną, przystrojoną wedle ostatniej mody postać, wystarczał do ocenienia jego natury i wewnętrznej wartości. Pan hrabia przekroczył już trzydziestkę, kiedyś miał spory majątek nawet, stracił go jednak w pogoni za studjami nad szykiem w Europie. W towarzystwie, do którego przez urodzenie należał, miru nie miał, gdyż i tam mir ten daje albo dobra sytuacja finansowa, albo też wysoki rozum.

Pan hr. Drzyński, ni jednym, ni drugim poszczycić się nie mógł, że jednak na drugiem a nawet ostatniem stanowisku znajdować się ochoty nie miał, przeto wymyślił sobie bardzo dowcipny sposób zostania na pierwszem.

W Galicji więcej może aniżeli gdzieindziej urok wielki posiada hrabiowska korona.

Hr. Juljusz powiedział pewnego pięknego poranku do siebie.

— Trzeba się stać człowiekiem idei.

Nie łatwe to jednak zadanie, tak prosto z mostu, z salonowego zdechlaczka przerobić się na człowieka, z »ideowem« stanowiskiem, trzeba jeszcze przedewszystkiem wiedzieć, jakiej idei się poświęcić, gdy nie ma żadnej w głowie.

Pan hrabia był w nie małym kłopocie, po długich jednak rozmyślaniach wpadł na szczęśliwy pomysł.

— Całe życie — powiedział sobie — strawiłem na studjowaniu szyku, straciłem nawet na ten cel cały mój majątek, a więc i szyku apostołem się stanę...

W sferze jednak do której przez urodzenie należał, idei szyku nie uznawano jako zasadniczej, godnej pracy całego żywota.

Wzruszano tam ramionami, gdy hr. Juljusz wykładać począł teorję »wypada« i »niewypada«, tych tuzinkowych formułek, które tworzyły zwyczaje, niczem niewytłumaczone i niemotywowane niczem. I tu hr. Juliusz znalazł się jak prawdziwy mąż stanu, albowiem zdobył się na zmianę frontu i znów powiedział.

— Nie zrozumieliście mnie wy, a więc pójde tam, gdzie mnie zrozumieją i ocenią.

To »tam« miało znaczyć: pójdę do tych głupców, których hrabiowska korona oślepia, którzy patrzeć na mnie będą z uwielbieniem, słuchać moich teoryj, admirować moją głupotę, pójdę do tych, którzy w hierarchii społecznej stoją o jeden stopień niżej — i tam będę pierwszym.

Jak postanowił tak też i zrobił pan hrabia — a na teraz dc swojego apostolstwa wybrał grunt miasta R., gdzie wkrótce doszedł do uznania obywateli małomiejskich, ciekawych zawsze na to, co

też pan hrabia w danym wypadku powie i z wielką przyjemnością przepuszczających przez swe mieszczańskie usta poufały wykrzyknik »kochany hrabio« albo »mój hrabio« lub coś w podobnym rodzaju. Łechtało to próżność małomiasteczkowych parweniuszów. a czemże łatwiej kierować na świecie, jak próżnością ludzką.

Hrabia o tem wiedział doskonale, to też względnie do ludzi sfery, w jakiej swe wzniosłe apostolstwo przyjął, zachowywał się najpopularniej, jak tylko na to go stać było.

Stanowił on też w towarzystwie małomiasteczkowem jedno z tych kółek, bez których polityka się już obracać nie była mogła.

On wiedział, co w danym wypadku uczyni pan minister rodak, lub kanclerz państwa ks. Bismark, a nawet pan prezydent rzeczypospolitej p. Grevy. On informował, gdzie należy przypiąć kokardę komitetowego przy festynie filantropijnym, a także przy jubileuszu zasłużonej osobistości, lub owacji dla niej. W końcu służył wszystkim w miasteczku do ubrania stołu przy familijnych uroczystościach, wznosił toasty, cedził mówki, miał prawo układania menu, objadania się naturalnie smacznemi potrawami i picia dobrego wina.

Bez hrabiego Juljusza, twierdzili nawet niektórzy — R. nie mogłoby zupełnie egzystować.

Jedynym współzawodnikiem do popularności hr. Juliusza był p. Bąbalewicz, który też zacięte z nim boje staczał. nazywając go. naturalnie po za oczami »podłym arystokratą« choć hr. Juljusz o demokracji, połączeniu się dwóch stanów, pracy wspólnej, wędrówce reka w rękę, dosyć głośno i dosyć żwawo rozprawiał.

Antagonizm tych dwóch luminarzy powiatowych, stosownie do okoliczności, potęgował się lub też malał. zależało to od rozmaitych wpływów postronnych, w każdym razie obydwie strony względem siebie stały zawsze na stopie wojennej, a zwycięztwo, jak to zazwyczaj bywa w wojnie, chyliło się to na jedną, to na drugą stronę.

Do tych dwóch wybitnych deputatów jacy dążyli ku mieszkaniu Ślepowrońskiego, zaliczyć należy jeszcze trzecią wybitną osobistość, spełniającą obowiązki regulatora wszystkich zapałów. Był to pan Agenor Straszyński, człek już lat podżyłych, który od roku 1846 nie mógł się pozbyć strachu, jakiego doznał przy pierwszym karabinowym wystrzale cesarsko królewskiego policjanta. Na twarzy jego rysowało się też zawsze najwyższe przerażenie, gdy ktoś nie tylko, że śmielej się odezwał, ale gdy nawet rzucił jakiś wyraz, który wedle dawnej normy galicyjskich urzędników zaliczać się mógł do tak nazwanych »polizeiwidrig« lub »politisch-verdächtig«.

Pan Agenor Straszyński miał zawsze na ustach swoje sakramentalne tst, a nacisk, jaki kładł na środkowe s tego wykrzyknika, przypominał syk węża, zbliżającego się z zarośli.

Na wszystkich zebraniach, festynach, uroczystościach, także jak Bąbalewicz i hr. Drzyński być musiał, albowiem jak mawiał »nie wiemy dnia ani godziny« »a ostrożność przedewszystkiem«.

Do czego miała się stosować nieświadomość dnia i godziny prawdopodobnie sam określić nie był w stanie, ale był najsolenniej sam przekonany, iż bez jego obecności świat się do góry nogami przewróci, warchoły tak gotowi spokojnych mieszkańców urządzić, iż nie będzie można potem do jakiegokolwiek dojść z nimi ładu.

Taka to paczka typów w asystencji dosyć licznego tłumu, który zazwyczaj spełnia obowiązki na widowisku galerji, dążyła do dworku pana Józefa Ślepowrońskiego, w celu zaproszenia go na gospodarza programowego balu, który miał się za dni parę w R. odbyć.

Wyborna to chwila na balu poznać bliżej kandydatów do godności poselskiej. Bąbalewicz zapowiada, iż jednym rzutem oka wysonduje ich przekonania polityczne, hr. Drzyński pojęcie o godności narodowego szyku i znajomość praw etykiety. o których każdy poseł pod utratą zbawienia i mandatu wiedzieć i w które wierzyć powinien; pan Agenor zaś ze swej strony także zapewniał iż na owym balu wybada odpowiednio dane osobniki, czy czasem oni nie mają w sobie jakiejś rebeljanckiej żyłki, któraby warcholstwem swem mogła skompromitować galicyjski naród.

— Tak, to trzeba koniecznie wiedzieć, szeptał p. Agenor swoje — bo nic wiemy ani dnia ani godziny.

Z takimi to przewódcami znalazła się w domu p. Józefa deputacja obywatelska w celu wyeksplikowania mu swej prośby i jednocześnie zmuszenia przyjęcia obowiązków gospodarza tego ważnego politycznego balu.

Trzeba tu jeszcze uczynić maleńką adnotację, a mianowicie, że obowiązki gospodarza takiego wkładają jednocześnie i obowiązek regulowania wszelkich rachunków z tego tytułu wynikających.

Od obowiązków zatem acz zaszczytnych, ale w każdym razie i kosztownych każdy się wymawia jak może i jak może od nich usuwa.

Skoro tylko deputacja zbliżała się już przez furtkę ogrodową do werendy, jenerałowa nie zapomniała dać natychmiast odpowiedniego objaś-

nienia swemu szwagrowi, któremu też po tem zjawieniu się gości uleciał gdzieś złoty humor, jaki przez czas trwania herbatki mu towarzyszył.

— A! kochanych moich panów, niechże ich uściskam — zawołał p. Józef. Tu rozpoczęły się ucałowania, wymiany uścisków, pytania i t. p. zdawkowe monety towarzyskiego życia, które trwały dopóty, dopóki pan Bąbalewicz dokumentnie nosa nie wytarł i krząkać nie zaczął, co zazwyczaj u niego było wskazówką, że ma głos zabrać.

Karol z zimnym, sarkastycznym uśmiechem przyglądał się tej całej kompanji. Szydłowiecki zdawał się jej nie spostrzegać. Figlarz Zuzia się śmiała, a pani Radwanowa przystroiła swą minę w dyplomatyczny uśmiech, jakiegoby się niezawodnie i żelazny kanclerz nie powstydził. Janina tylko uczuwała litość dla tych ludzi, którzy z rzeczy najświętszych i najpiękniejszych robili formalne komedje, a której znów z pewną ciekawością przyglądała się piękna pani Szydłowiecka.

Manipulacja z nosem zajęła panu Bąbalewiczowi widocznie zbyt wiele czasu, bo całe przybyłe towarzystwo już się znalazło w ordynku, a on jeszcze głosu nie zabierał. Ta okoliczność nasunęła panu hrabiemu myśl skorzystania ze sposobności i wyprowadzenia swej osoby na plan pierwszy. Wysunął się więc naprzód, ukłonił się na nowo panu Józefowi i szybko zaczął.

— Czcigodny obywatelu!

Jak piorun z jasnego nieba na spokojnego śmiertelnika, tak ten wykrzyknik hrabiego podziałał na organizm pana Bąbalewicza. W tej chwili uczuł się zagrożonym na swojem zdobytem stanowisku. Jemu bowiem współobywatele powierzyli obowiązki przewodniczącego gromady.

— E, do krocset, co mi tu hrabia wyjeżdżasz z czcigodnym obywatelem — zawołał zaperzony. Teraz demokracja górą, tu nie ma hrabiów, ja jestem przewodniczącym, ja mam głos, proszę się zatem nie wdzierać w cudze atrybucje.

— Ależ panowie! — zawołał pan Józef, chcąc załagodzić sprawę.

— Nie ma panów, powiedziałem — z pasją zawołał Bąbalewicz — ja mówię i basta, proszę mi nie przerywać.

Po takiej konfuzji naturalnie i p. Józef zamilknąć musiał, hrabia się odezwał szepleniąc przez zęby coś o gburowatości niesfornych tłumów, a tymczasem pan Bąbalewicz wysunąwszy prawą rękę naprzód do góry, a lewą nogę ku przodowi, oczy na wpół przymknął i tak mówić zaczął.

— Obywatelu! Nie jestem ja wprawdzie mowcą znakomitym, ale obywatelem tutejszego miasta, którego obywatele wybrali mnie dla spełnienia obywatelskiego obowiązku i zaproszenia czcigodnego obywatela na gospodarza obywatelskiego balu, który się odbędzie w obywatelskiem kasynie.

Jak widzimy, pan Bąbalewicz czuł specjalną predylekcję do wszelkich odmian obywatelskości i wszystkie te obywatelskie wyrazy wymawiał też z pewnym naciskiem.

Efekt był prawdziwie komiczny, tak iż nawet p. Józef nie należący do kategorji złośliwych, uśmiechał się pod wąsem i jak mógł dusił w sobie napady serdecznego śmiechu, które dla otoczenia manifestowało się nerwowem trzęsieniem brzucha.

— Panowie! — zawołał — z wielką przyjemnością służyć...

Ale frazesu nie skończył, tak groźnie spojrzał nań Bąbalewicz i tak brwi, duże nad oczami namarszczył.

— Za pozwoleniem, jeszcze nie skończyłem, proszę nie przerywać — zawołał surowo, tak iż wyraźny przestrach zarysował się znów na twarzy pana Józefa.

— Spodziewam się, — ciągnął dalej po tej przerwie Bąbalewicz, — że znane mi poczucie obywatelskich obowiązków czcigodnego obywatela nie pozwoli mu odmówić temu zaufaniu, jakie grono obywateli naszego miasta nakłada na jego obywatelskie barki. I mniemam, że bal obywatelski będzie miał zaszczyt i sposobność liczyć go w rzędzie swoich obywatelskich gospodarzy. Skończyłem! Tak się mówi panie hrabio! z pewną dumą zawołał Bąbalewicz, zwracając się do hrabiego, który całej tej mówce przysłuchiwał się z drwiącym uśmiechem.

Pan Józef już uważał za stosowne nic nie odpowiadać, tylko całował wszystkich z kolei tak, że mu aż oczy na wierzch wyłaziły, a pani generałowa tymczasem wchodziła w bliższe pogawędki z wyborcami, w których rękach wedle jej zdania leżała cała przyszłość i karjera Zuzi.

Naturalnie, że całe to przyjęcie na sucho skończyć się nie mogło, że pan Józef musiał wystawić najlepsze okazy swej piwnicy. I wówczas, gdy kobieca część towarzystwa usunęła się na bok dla odbycia walnej narady w celu powzięcia odpowiednich postanowień co do toalet na ów bal zapowiedziany, na werendzie rozpoczęła się pijatyka na dobre, przy której naturalnie nie zabrakło całusów, zapewnień przyjaźni i wszelkich innych tego rodzaju rozmaitości, które nic nie kosztują, a które jednak nieskończoną zdają się robić przyjemność wielu ludziom.

Hrabia Drzyński tylko odróżniał się dystynkcją od tej całej kalwakady. Umiał się on poświęcać dla idei — nie tak dalece jednak, aby był w stanie

zniżyć się do obcałowywania twarzy swych współobywateli, których dotąd jeszcze nie mógł oduczyć tego barbarzyńskiego zwyczaju. Zbliżył się więc do dam, usłyszawszy zdala o czem mówią i usługi im swoje ofiarował, co szczególnie uradowało jenerałowę a nawet Zuzię i panią Szydłowiecką, zwłaszcza, gdy zaraz z pierwszych słów hrabiego miały sposobność poznać, iż jest on w tych rzeczach niepospolitym konesarem.

— Z armat, jak Radziwiłł kazałbym walić — wołał na werandzie p. Józef, któremu dawny humor pod wpływem dobrego węgrzyna powracał, — na przyjęcie tak zacnych, tak ukochanych i tak serdecznych gości!

— Tsst, panie dobrodzieju! — ozwał się w tej chwili p. Agenor — po co to mówić takie brzydkie słowa, tfu, warcholskie słowa, armata i do tego w dzisiejszych czasach: ostrożność przedewszystkiem, albowiem nie wiemy ani dnia ani godziny.

— Co mi pan tam będziesz ze swojem »tst« wyjeżdżał — zawołał p. Bąbalewicz zaperzony, — ja się nikogo nie boję, rozumiesz pan, mnie nic nie obchodzi, ja się nikogo nie boję, ja panie jestem w opozycji, niechaj się dowie o tem pan minister, niechaj się sam cesarz dowie, tak panie, tylko opozycja może dziś coś znaczyć, ten kto oponuje panie dobrodzieju, tego się boją, a ten kto się boi wszystkiego jest... jest...

Tu pan Józef chcąc przerwać jakieś obraźliwe słowo Bąbalewicza przeciwko p. Agenorowi skierowane, zaczął ściskać odważnego mowcę.

Pan Agenor podczas całej mówki Bąbalewicza stojący w postawie porażonego paraliżem człowieka, z założonemi na krzyż rękoma i oczyma zamkniętemi, teraz je otworzył, obejrzał się najpierw i trwożliwym głosem zawołał.

— Panie Bąbalewicz, tst na Boga tst, bo że ciebie do Kufsteina poszlą, to już rzecz twoja, ale za co my spokojni, lojalni obywatele mamy cierpieć, że ciebie słuchamy, ściany mają uszy w dzisiejszych czasach, a jak przyjdzie wojna, zobaczysz, bęc i będziesz siedział jak pan Bóg i prawa Jego apostolskiej Mości przykazały.

— Co mi tam Kufstein panie dobrodzieju — wołał zaperzony Bąbalewicz — nie chcę o nim nic słyszeć, ja im teraz politykę zrobię, oni będą wiedzieli co to Bąbalewicz znaczy, panie dobrodzieju. Proszę mi tutaj bzdurstw nie gadać i basta.

Bąbalewicz coraz więcej się zapalał, p. Agenor Straszyński coraz częściej powtarzał swoje sakramentalne »tsst«, a Trzaska tymczasem stojąc na boku, obserwował te wszystkie objawy wyborców, te wszystkie ich entuzjazmy i obliczał, jak w danej chwili będzie zdolnym przerobić i tych ludzi na stronników swego Karola.

Dziwiła go tylko rzecz jedna. Oto między tymi ludźmi nie widział Marcinkiewicza, a wiedział dokładnie o wszystkich jego machinacjach i znał całą nienawiść do Karola.

— A gdzież redaktor? — spytał więc Bąbalewicza.

— Sprawy publiczne, pro publico bono, z tajemniczym uśmiechem odparł zapytany, dając niejako poznać, że wie co zmusiło Marcinkiewicza do wyjazdu, ale jednocześnie i to, że obowiązany jest dochować tajemnicy.

— Ach, wyjechał — powtórzył przeciągle Trzaska — i na długo?

— Ech, nie, spodziewamy się go dzisiejszym pociągiem, nawet już tutaj być powinien. Mieliśmy czekać na niego w ratuszu, ale zrozumiesz pan, szanowny panie sekretarzu, że niepodobieństwem było tak długo czekać szanownym obywatelom, tyle czasu do pociągu, gdy się z niecierpliwością największą dla oglądania szanownego naszego kandydata pana Józefa, obywatele do sali zebrani na dwie godziny przed oznaczonym terminem zgromadzili.

— Naturalnie, naturalnie, — potakująco powtórzył Trzaska — przez ten czas mogłoby wino było skwaśnieć w piwnicach naszego poczciwego kandydata.

Bąbalewicz miał wielki respekt dla Trzaski, bał się jego ostrego i ciętego języka, to też docinek ten zniósł z krwią arcyzimną i udał, jakby go zupełnie nie słyszał.

Trzaska jak swoje dziesięć palców, znał doskonale wszystkie tajniki i wszystkie sprężyny małomiejskiej agitacji, wiedział jaką rolę w tem wszystkiem odgrywa Marcinkiewicz, rzucone też słowa przez Bąbalewicza, tłómaczące dobrem publicznem jego wyjazd, dały mu wiele do myślenia. Spojrzał na zegarek, było pięć minut do siódmej, o siódmej przychodził pociąg, za pięć minut pomyślał sobie, wyjaśni mi się cała sytuacja. W oczekiwaniu tego wyjaśnienia tym razem chodził od jednego do drugiego z wyborców, dokuczał im przycinkami, drwił niemiłosiernie, rzucał aforyzmy i myśli, które nawet Bąbalewicza z kontenansu zbijały, jednem słowem w całem towarzystwie usiłował sprowadzić atmosferę chłodniejszą od tej, jaka istniała z początku, wywołana serdecznem przyjęciem Ślepowrońskiego i naturalnie jego... piwnicą.

A umiał to uczynić Trzaska, poddawał Bąbalewiczowi jakieś sentencje, niby myśli do mówek,

których ten zrozumieć nie mógł; p. Agenorowi opowiadał o krwiożerczości świeżo mianowanego starosty i spisku, który jakoby wykryto...

Dodawał nawet z pewną tajemniczą miną, iż w tej sprawie wielkie podejrzenie pada na pana Agenora, który z dawien dawna znany jest jako rebeljant krwi czystej, o czem c. k. rząd dobrze jest poinformowany.

Ta ostatnia wiadomość opowiedziana w tonie zupełnie serjo, do prawdziwej rozpaczy doprowadziła miejskiego strachajłę, stracił biedak apetyt do jedzenia i picia i jako statua komandora, blady i przerażony usiadł w kąciku werendy, rozpamiętywując wszystkie swe czyny i oglądając się z przerażeniem na wszystkie strony.

Krzyżowały się tak mówki, docinki Trzaski, serdeczne uściśnienia i wykrzykniki p. Józefa, gdy na tej samej ścieżynce, którą przybyła przez ogród deputacja, ukazała się pełna jak zwykle powagi postać Marcinkiewicza.

Szedł on jak zwykle z podniesioną do góry głową, uśmiechnięty i szczęśliwy jak nigdy.

Sam już ten wyraz twarzy czcigodnego reprezentanta opinji publicznej, jak go nazywali mieszkańcy R., przeraził Trzaskę. Taki uśmiech zapowiada zwykle tryumf, a Marcinkiewicz tryumfować lubiał okrutnie. Nie tajną była przytem dla Trzaski cała nienawiść, jaką ku jego synowi pałał ten mąż pełen poświęcenia dla sprawy publicznej.

Za przybyciem Marcinkiewicza musiały się rozpocząć na nowo przywitania, pocałunki a co zatem idzie i toasty.

— Cóż, jakie nowiny szanowny redaktor nam przynosi ze stolicy — zapytał Bąbalewicz przybyłego, po dopełnieniu prawem towarzyskiem miasta R. przepisanego ceremoniału pocałunków.

Marcinkiewicz wargi wydął, oczy mu się zaświeciły, nie zapominając jednak o swej redaktorskiej powadze i roli wyższego człowieka z pewną udaną obojętnością wycedził przez zęby.

— Przywiozłem i ważne, mniemam nawet, że zmienią one w zupełności cały dotąd przewidywany rezultat naszych wyborów. Są, są wiadomości i ważne.

Wszystko co się znalazło na werandzie, nachyliło głowy i uszy ku mówiącemu, chcąc się o tych niesłychanie ważnych dowiedzieć nowinach, Marcinkiewicz jednak, spoglądając po rozciekawionych fizjonomjach, zdawał się przez chwil parę rozkoszować wrażeniem jakie sprawił, założył jednak po napoleońsku ręce na krzyż i z dyplomatyczno tajemniczym akcentem wygłosił poważnie następujące słowa.

— Każda wiadomość podana nie w porę, nic nie pomaga, ale przeciwnie szkodzi, o tem powinien wiedzieć każdy obywatel. Otóż i nowiny przezemnie przywiezione i zdobyte kosztem wielkiego poświęcenia, należą właśnie do kategorji tych, o których można mówić dopiero we właściwym czasie. Po waszym takcie politycznym spodziewam się ponownie, obywatele, iż będziecie umieli uszanować konieczność tej tajemnicy politycznej i nie będziecie mnie napastować pytaniami, na które z góry uprzedzam, nie otrzymacie żadnej odpowiedzi. Sami wiecie, jestem niewzruszony, zwłaszcza tam, gdzie idzie o dobro publiczne, o nasz interes.

Zawiedzeni w oczekiwaniu usłyszenia interesującej i ważnej wiadomości, z pewnem niezadowoleniem zaczęli kiwać głowami, popijając to rozczarowanie dobrem winem Ślepowrońskiego.

Jeden tylko Trzaska nie dał za wygraną tej tajemnicy przywiezionej ze Lwowa przez Marcinkiewicza, który tymczasem ze swej strony usiłował się wydobyć z uścisków współobywateli i przecisnąć do dam, do tej chwili prowadzących ożywioną wielce dysputę z Drzyńskim a propos ostatniej mody, która do R. spóźniła się nieco figurując już na buletynie paryskim od dawna, jak to pan hrabia Juliusz miał sposobność zaobserwować w dziennikach tej specjalności poświęconych, których stałym był prenumeratorem. Właśnie w tej chwili toczyła się żywo wymiana zdań co do długości ogona u sukien między hrabią Juljuszem a panią Szydłowiecką.

Przybliżenie się tak ważnej osoby do towarzystwa, jaką był Marcinkiewicz, ku wielkiemu niezadowoleniu Juljusza, musiało temat rozmowy usunąć na plan drugi. Jenerałowa także z miny przybywającego odgadła, iż przynosi on wieści ciekawe i że te wieści odnoszą się do wyborów, które tak ją gorąco zajmowały.

Marcinkiewicz całą swoją uwagę zwrócił jednak ku pięknej pani Szydłowieckiej, której ożywienie w rozmowie dodawało jeszcze wdzięku i sprowadzało chmury na czoło pana redaktora. Spojrzał, Karol stał opodal, nie mięszając się do rozmowy, a uśmiech ironji i zadowolenia wyraźniej się zarysował na twarzy przybyłego, czoło zaś Trzaski, który i tutaj spełniał obowiązki obserwatora, pokryło się fałdami. Szydłowiecki zaś na jego widok wstrząsł się cały, ujął pod ramię Karola i widocznie nie chcąc się witać z przybyłym, pociągnął z sobą w głąb ogrodu politycznego przeciwnika.

Marcinkiewicz tymczasem obserwował piękne

oczy pięknej pani i zdawał się w nich szukać tych ogni, które w nim zawsze zapalały krańcowe żądze.

Widocznie jednak i pani Szydłowieckiej to zjawienie się jej stałego dotychczasowego amanta nie uczyniło wielkiej przyjemności, rękę podała mu chłodno, bardzo chłodno, tak iż to go nawet dotknęło, a pociągając z sobą Zuzię i hrabiego Juljusza niby zajęta bardzo rozmową, wstała z ławki, i skierowała swe kroki w stronę przeciwną tej, w jaką się udał Karol z jej mężem.

Na ławeczce została Radwanowa a przed nią Marcinkiewicz, który na ten manewr Szydłowieckiej wargi przygryzł i mruknął.

— A no, zobaczymy co będzie dalej.

— Z czem? — zapytała, nie rozumiejąc tej apostrofy jenerałowa.

— Ach! to cała historja proszę pani — zawołał źle ukrywając swe niezadowolenie pan redaktor. Jak to dobrze, że zostaliśmy tutaj sami, mam pani powierzyć rezultat mych poszukiwań we Lwowie, podjętych jedynie w celu służenia dobru publicznemu.

— Właśnie o ten rezultat chciałam się szanownego pana zapytać...

— Będzie on dla wszystkich tajemnicą z wyjątkiem pani.

— Dzięki za zaufanie.

— Jestem przekonany, że szanowna pani mojego zaufania nie zawiedziesz i dopomóc mi raczysz w sprawie, która mniemam, i ją obchodzi wielce. Jak się też pani jenerałowej zdaje, kto z naszego okręgu zostać może posłem?

— Chciałabym aby nim został mój szwagier.

— Tak, ale mamy trzech kandydatów.

— Wszyscy wyborcy okazują największą życzliwość, szacunek i zaufanie dla p. Józefa.

— O, na to pani nie licz, wszyscy wyborcy to stado owiec i baranów, których sprytny człowiek może zawsze poprowadzić tam, gdzie tylko zechce, na nieszczęście w naszem galicyjskiem społeczeństwie jest jeszcze dużo żywiołów warcholskich, które posiadają spryt i zręczność, umieją skierować w danej chwili tam, gdzie dobro publiczne na pierwszym nie znajduje się planie. Wierz mi pani, znam doskonale to społeczeństwo i zupełnie się nie łudzę, a jestem prawie pewien, że z urny wyborczej, gdybyśmy tak rzecz pozostawili, jak ona jest obecnie, wyszedłby ten... ten... ten pan... Karol Liwski. Ma on śród całej tej rzeszy rękę, która bardzo energicznie i bardzo skutecznie pracuje dla niego i wystarczyłoby w danej chwili przed samymi wyborcami dobre jego znalezienie się, aby pobił pana Szydłowieckiego i szwagra pani. Pan Szydłowiecki i tak musi zrezygnować, kandydatura jego wyjdzie gdzieindziej, gdzie będzie miał większą szansę powodzenia, gdyż takie instrukcje właśnie otrzymałem od komitetu centralnego lwowskiego, ale pan Józef przepadnie.

Pani jenerałowa na samo to przypuszczenie, aż poruszyła się z oburzenia na ławeczce. Pod tem wrażeniem utrzymał ją na czas pewien Marcinkiewicz, widocznie chciał to wrażenie spotęgować dalszym ciągiem rozmowy.

— Ale ja umiałem znaleść lekarstwo na tego wchodzącego nam w drogę ptaszka! Sprawy nie zaspałem i oto w tej chwili znajduję się w posiadaniu klucza, którym rozwiążę całą sytuację i tego pana tak wysadzę z kandydackiego siodła, iż on się tego nie spodziewa nawet.

Uśmiech radości zajaśniał na twarzy jenerałowej, nie umiała pokryć nawet swego zadowolenia, co Marcinkiewicz przyjął jako wyraz uwielbienia dla siebie.

— Jakto? — spytała po małej pauzie.

— Czy pani wiesz kto jest i kim jest ten... ten... pan Karol Liwski?

— W obozie postępowym uchodzi za jednego z najzdolniejszych ludzi.

— To jeszcze nie wszystko.

— Więc?

— Ten człowiek jest podrzutkiem, dzieckiem miłości, znajdą, którą przygarnęli do siebie ludzie, wykształcili i uznali za syna.

Jakiś dreszcz febryczny przebiegł ciało jenerałowej, twarz jednak przybrała wyraz oburzenia najwyższego i zawołała.

— Ależ to niepodobna! miałżeby tyle śmiałości wejść do naszego uczciwego domu i starać się o godność reprezentanta współobywateli?

— Co pani chcesz, ludzie tej kategorji odznaczają się zazwyczaj niepospolitą bezczelnością, zresztą, przypuszczam że i on sam o tem nie wie, ja wiadomość tę musiałem zdobyć kosztem bardzo licznych poświęceń i prawdę rzekłszy, zawdzięczam ją tylko przypadkowi; odnalazłem jego starą mamkę, którą zręcznie wybadawszy po nitce do kłębka doszedłem. Plan mój przedstawia się bardzo prosto. Jutro bal w obywatelskiem kasynie. Naturalnie będą programowe mówki, kaptowanie sobie wyborców. Pan Liwski tam być musi, to nie ulega najmniejszej wątpliwości — i wtedy puszczę wieść, która jak bomba spadnie i wszystkie jego zamiary zdruzgoce, unicestwi bezpowrotnie. Ludzie zawsze łatwo przebaczą winy człowiekowi, który się ich sam dopuścił, nigdy zaś tych, które spadły

na niego po rodzicach, zwłaszcza też jeżeli ci rodzice nie zdążyli zaopatrzyć jego kieszeni w odpowiednią liczbę cekinów.

— Panie, darujesz pan, ale krew zawsze mówi za siebie i nigdy nie zawodzi.

— Ach pani jenerałowo, powiedzieć że urodzenie czyni ludzi, to wcale temu nie zaprzeczam, to nawet już pozytywna nauka stwierdza, nie utrzymuję też tutaj zupełnie tego, jakoby ludzie nie mieli słuszności, stwierdzam zaś tylko fakt, który w danych okolicznościach jest dla nas niesłychanie pożądanym.

— O tak, ale doprawdy, powtórzyła z oburzeniem raz jeszcze jenerałowa, nie jestem w stanie wyrazić zdumienia nad bezczelnością tego pana

— Ach, gdybyż to jeszcze tylko, pani jenerałowo, pani nie uważasz, iż w tym człowieku nie ma iskry moralności, on usiłuje bałamucić panią Szydłowieckę.

— A przecież to kobieta nieposzlakowanej i żelaznej cnoty — zakonkludowała jenerałowa.

Marcinkiewicz spojrzał się na nią, jakby chciał się dowiedzieć, czy czasem słowa wypowiedziane przez jenerałowę nie były żartem i szepnął.

— O tak!... Do jutra więc tajemnica najsolenniejsza a potem zdaje mi się, iż społeczeństwo nasze raz na zawsze pożegna się z tym panem, który śmie piąć się tam, gdzie dla niego miejsca nie ma. Muszę tylko jeszcze tę wiadomość zakomunikować Trzasce, ho, ho, to człowiek zręczny, chociaż zawsze pijany. Skoro on tylko na swój ostry języczek weźmie ten wypadeczek, skoro zaostrzy ciekawość tych bałwanów, gdy bomba pęknie, ten pan Liwski wzleci tak w powietrze, że zupełnie zapomni o ziemi.

Jenerałowa odetchnęła pełną piersią, wszystko to co jej powiedział Marcinkiewicz napełniło jej piersi zadowoleniem, czuła już swój tryumf i tryumf Zuzi na wielkim świecie, na który w głębinach serca i ona sama od tak dawna pragnęła wkroczyć i gdzie przez tyle czasu rezydowała.

Trzaska, który z uporem obserwował wszystkie manewry Marcinkiewicza i jego otoczenia, jakby na zawołanie tym razem dążył w stronę, gdzie takie ważne zwierzenia czynił jenerałowej reprezentant opinji. Spostrzeżono go zdaleka, jenerałowa więc powstała z miejsca, oglądając się niby za Zuzią, gdy Marcinkiewicz skierował swe kroki ku sekretarzowi rady powiatowej.

— Dobry wieczór, panie Trzaska — zawołał, wyciągając ku niemu rękę protekcjonalnie.

— Dobry wieczór redaktorowi — odparł chłodno Trzaska. Po tak długiej podróży, zmęczony pan niezawodnie jesteś, jednak nie opuszczasz stanowiska i jak widzę, wytrwale pracujesz na niwie kandydatury pana Szydłowieckiego.

— Znasz mnie, panie Trzaska i wiesz, że w połowie drogi nie ustaję nigdy, a przeciwnie wytrwale i energicznie zawsze idę do celu.

— O tak, z pewnym naciskiem powtórzył Trzaska.

— Jak to dobrze, że cię tutaj spotkałem panie Trzaska, mam ci powiedzieć niesłychanie ciekawą wiadomość, którą, spodziewam się, odpowiednio i zgrabnie, jak to umiesz spożytkujesz, a która, zapewniam cię, dla twego złośliwego języczka stokroć jest lepszą od wszystkich głupstw Bąbalewicza, Drzyńskiego lub Agenora.

— Pan redaktor jesteś niesłychanie łaskaw dla swego pokornego sługi.

— Zdaje mi się, że w moją życzliwość nie wątpisz.

— Któżby śmiał...

— Otóż dając ci dowód tej życzliwości panie Trzaska, jednocześnie także, mniemam, mam prawo domagać się od ciebie wzajemności.

— Najniezawodniej.

— Widzisz, ten Liwski wlazł nam tutaj w drogę, jak Piłat w credo.

Oczy Trzaski zamigotały gwałtownie, poruszył się nawet, wrażenie tych słów jednak umiał stłumić i dosyć obojętnie mruknął.

— Aha!

— Postanowiłem go unicestwić, zwalić go tak z tej kandydatury, iżby się z niej nigdy podnieść nie był w stanie. To strach bowiem co ten postępowy obóz u nas wyprawia i do jakiej dochodzi bezczelności.

Trzaska przygryzł usta, ale na to oburzenie Marcinkiewicza odpowiedzi nie dał, szepnął tylko znów spokojnie, chcąc nareszcie przyjść do posiadania tej tajemnicy, o której z ust jego słyszał.

— Więc tedy? szanowny redaktorze!

— Otóż dowiedz się kochany panie Trzaska, że ten nasz Liwski, ten judasz, który włazi w drogę i wszystkim nam psuje interesa, jest ani mniej ani więcej, jak tylko prostym znajdą, podrzutkiem...

Tutaj dalej pan Marcinkiewicz nie mógł dokończyć swoich wyznań, bo nagle Trzaska zmienił się do niepoznania. Twarz jego stała się purpurową, oczy błyszczały jak u wilka, zerwał się z miejsca chwycił za piersi Marcinkiewicza i z całą wściekłością zawył formalnie.

— To fałsz, to kłamstwo!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

POEZJA.

SIEDMIOLETNIEGO RAZ SYNA.

Siedmioletniego raz syna
Przyniosłem z sobą do Lwowa
Głupiutka była dziecina,
Zwyczajnie, na wsi się chowa.

Więc każdy szczegół stolicy
Budzi w nim zachwyt szalony;
Podziwia wielkość ulicy,
Wielkie psy, wielkie frontony.

I wielkich ludzi dowoli,
Chodzących z wzniesioną głową.
I zaszliśmy tak, powoli,
Prosto na górę zamkową.

Słońce, jasno złotą strugą
Rozsypało się po mieście...
I staliśmy, patrząc, długo,
Aż mały smarkacz rzekł wreszcie:

Dlaczego, te wielkie mury,
Ci ludzie tacy wspaniali,
Gdy na nich patrzeć z góry,
Tatusiu, są tacy mali?

M. Rodoć.

J A D,

POWIEŚĆ

ALEKSANDRA KIELLANDA

przełożył

A d i n.

(Ciąg dalszy.)

Doktor Bentzen do takich okazyj miał zawsze w pogotowiu kilka zwrotów religijnych, jakkolwiek zresztą zwykł był przeplatać mowę przekleństwami i dwuznacznikami. Fizyk wyszedł i drzwi się za nim zamknęły, co było najgorsze udało się zataić, stanowisko było uratowane. Wówczas profesor, zostawszy sam na sam z trupem żony, nie mógł się dłużej trzymać, upadł na ziemię przed łożem żony i jęczał.

Tak więc skończyło się jego pożycie małżeńskie! Było ono dla niego szeregiem walk, w których zawsze przegrywał, — jak i teraz. Walczył, aby pozyskać żonę innymi środkami niż miłością. Chciał jej wszczepić pełny dla niego szacunek, do tego stopnia, iżby nawet jego pogląd na życie uznała za słuszny i przed nim się korzyła. W próżności Löwdahla zawierał się cały jego charakter. Wszystko składało się na to, aby go w tem utwierdzić, tylko żona nie chciała się poddać. A im bliżej się wzajemnie poznawali, tem bardziej on się przekonywał, że nie ma widoków, aby się ona jemu poddała i podziwiać go się nauczyła; to poznanie jednak więcej jeszcze podniecało go do walki. W końcu — myślał sobie — musi ona się przekonać, że niczego nie może osiągnąć, jak tylko z jego pomocą i okaże się, że jej przesadne idee złożone są z samych frazesów i pięknych słówek.

Z tem wszystkiem jednak miał dla niej respekt mimowoli. Jej bezwzględna śmiałość, ten wzrok jej bystro i śmiało na niego zwrócony, który czuł nawet wówczas, gdy w towarzystwie zdala od niego się znajdowała, skoro z właściwą sobie zręcznością i lekkością mijał się nieco z prawdą, — to wszystko bezustannie go gniotło i drażniło, gdyż nigdy nie mógł nią zachwiać. W jednym tylko punkcie zwyciężył, w walce o Abrahama. Jednocześnie zaś zdarzyło się coś nowego, o wiele gorszego niż tamto i to sprowadziło ruinę.

W głębi serca krył on tajemnicę, której strzegł przez całe życie z największym wysiłkiem: był zazdrosnym. Zazdrość nurtowała w nim po cichu i z zaciekłością; podobnie bowiem jak próżność jego nigdy nie okazywała się w sposób, choćby cokolwiek zbliżony do pyszałkowstwa, tak też i w zazdrości wystrzegał się gwałtownych wybuchów i nierozważnych postępków. Zawsze pamiętał zdanie, które raz za młodu wyczytał, że »zazdrosny mąż zawsze bywa śmiesznym, najbardziej zaś gdy wpada ze sztyletem«. Śmieszności bał się profesor Löwdahl nadewszystko i dlatego raz na zawsze dał sobie słowo, nie urządzać scen sztyletowych. Zresztą nie leżało to nawet w jego naturze i chociaż do głębi czasem czuł się dotkniętym, chociaż z usposobienia wrażliwym był na byle najmniejsze uchybienie lub lekceważenie swojej osoby, nigdy tego na zewnątrz nie okazywał.

Dlategoteż ożeniwszy się, od pierwszej chwili przyjął system udawania, jakoby nic nie widział i niczego nie rozumiał, a wobec młodych ludzi, którzy od czasu do czasu zbliżali się do jego żony był pełen uprzejmości i grzeczności, ją zaś wychwalał przed nimi do tego stopnia, że ją samą to w końcu nudziło. Równocześnie trzymał się sam trochę na uboczu, okazując jednak ile możności całą ową rycerskość tkwiącą w jego istocie;

stosownie do okoliczności cofał się lub zbliżał, wiernie i usłużnie, tak iż młoda żona, jakkolwiek go nigdy prawdziwie nie kochała, zawsze bez namysłu wracała do niego, skoro ją stosunek jaki zaczynał niepokoić. Do niego bowiem w gruncie rzeczy miała najwięcej zaufania. A jednak, ilekroć przeszło szczęśliwie takie przesilenie, profesor czuł, że na przyszły raz będzie już trudniej zwyciężyć. To też było jednym z powodów, dla których opuścił stolicę. Tu, w tej małej mieścinie było mu lepiej. Wprawdzie i tu znalazł się adorator w osobie starszego nauczyciela Abla i napsuł trochę krwi profesorowi, ale w gruncie rzeczy był to stosunek zupełnie nieszkodliwy. Zdawało się, że tu nareszcie przestanie go gryść ów robak zazdrości, aż tu naraz zjawia się Mordtmann!

Od owego nieszczęsnego obiadu, który profesor urządził, ponieważ się czuł do tego zobowiązanym, a zaś Wencke — ile mu się zdawało — dotąd była wobec Mordtmanna najzupełniej obojętną, od owej chwili, w której młody przybysz pozyskał sobie kobietę swojem wystąpieniem w kwestji szkolnej i odebrał od niej podziękę w kształcie wymownego spojrzenia — od tej chwili profesor wiedział już co się święci, jakkolwiek nie spodziewał się tego końca.

Przewidywał ciężką próbę i uciekał się do dawnej swojej metody: subskrybował akcje fabryki »Fortuna«, wstąpił nawet do dyrekcji i z największą uprzejmością zaprosił Mordtmanna. Lecz wkrótce się spostrzegł, że tym razem nie pójdzie tak łatwo, jak zwykle. Z każdym dniem trudniej mu przychodziło panować nad sobą; oczom jego nic nie uszło, wiedział o wszystkiem i wszystko rozumiał; widział jak się stosunek zawiązywał i stawał się coraz ściślejszym — widział to wszystko o wiele wcześniej i wyraźniej, aniżeli sama Wencke. Krew zaczęła mu się burzyć, już — już nie mógł dłużej się maskować, gdy cały dom jego groził ruiną; dawna metoda nie dopisywała. Widział, że musi coś zrobić. Uderzył laską o bruk onegdaj, gdy spotkał Mordtmanna wychodzącego z jego domu i z twarzy jego wyczytał jasno jak na dłoni scenę która się odbyć musiała przed chwilą — uderzył o bruk tylko, ale czuł zarazem, że to już chyba ostatni raz udało mu się zapanować nad sobą. Kilka dni nurtowały w nim takie myśli, dziś jednak przyszedł był do domu z postanowieniem: powiedzieć żonie, bez ogródek, przedstawić jej cały przebieg sprawy od początku aż do dnia dzisiejszego. Już nie zważał na upokorzenie, chciał się żalić, wszak miał prawo do tego; chciał ją przywołać do obowiązku, jako uczciwą kobietę. W tem na dobitek ona zwierza mu się naraz z tak niemiłą i wcale nieprzewidzianą wiadomością; stracił rozwagę, cała jego mozolna praca nad sobą poszła na marne, aż uniósłszy się namiętnością, rzucił jej w twarz ostatnią obelgę. Zamiarem jego było powiedzieć jej, że stracił do niej zaufanie, że zaczyna wątpić o niej; chciał ją ostrzec, prosić, mówić do niej nawet szorstko, jeśli będzie potrzeba; bynajmniej jednak nie chciał jej wprost obrażać. Że serce jej mogło się od niego odwrócić, o tem wiedział dobrze i to właśnie go tak dręczyło, lecz wiedział także, że skoro rzeczy dojdą tak daleko i ona wybór uczyni świadomie, to też nie omieszka w tej chwili przyjść do niego i powiedzieć wszystko. Żeby mu się mogła sprzeniewierzyć w inny sposób, tego nigdy na serjo nie przypuszczał. Najmniej zaś wierzył w to obecnie, gdy stał przed jej trupem i pełen ponurych myśli zapatrzył się w martwe jego rysy.

(Dokończenie nastąpi).

RUCH NAUKOWY.

Dusza w powłoce powietrznej

fantazja naukowa

Kamila Flammariona.

Cudnie piękna, dziewiczo czysta, niepokalana, stała z rękoma podniesionemi ku głowie... Prześliczne jej ręce usiłowały związać w jakąś całość obfite, miękkie sploty włosów... Była to piękność młodzieńcza w tej chwili rozwoju, która pozwala dopiero przeczuwać doskonałość form i linij w najwyższej ich doskonałości... Piękność jaśniała w niej wszystkiemi blaskami lat siedmnastu, oślepiająca a spokojna; wyglądała jak burza w napięciu przed uderzeniem piorunu, jak cisza letnia, która wybuchy w łonie swem nosi... Dziecię Wenecji — kształty jej cielesne, białości śnieżnej, rumieniły się wewnętrzną pracą krwi życiodajnej: oczy rzucały blaski tajemnicze, a karmin jej warg wpółotwartych zmuszał do marzenia nie tylko o cudownym kwiatku, ale i o jego owocu · Była skończenie piękną w swej naiwnej nagości i gdyby jaki nowy Babilon miał jej oddać palmę zwycięztwa, nie wiem, czy u stóp jej złożyłby hołd piękności, czy raczej tej niepochwytnej a tak uroczej elegancji ruchu każdego... Była bowiem wcieleniem żywego wdzięku współczesnej ziemskiej pokusy i spokojnych kształtów piękna klasycznego...

Jeden z tych nieprzewidzianych wypadków, które do najszczęśliwszych zaliczyć trzeba, sprawił,

że najniespodziewaniej znalazłem się z moim przyjacielem, rzeźbiarzem, czcicielem formy, lubownikiem piękna, wobec tego zjawiska. Słońce wiosenne po niebieskim stropie już ze szczytów swych schodzić zaczynało, a zwierciedlana powierzchnia morza miłośnie igrała z jego złotemi strzałami... Tylko co przeszliśmy przez jeden z tych smutkiem owianych lasów oliwkowych, które spotkać można między Niceą i Monaco, i, zajęci rozmową, niezauważyliśmy, że przekraczamy granicę prywatnej posiadłości od strony morza, strzeżonej jedynie przez wód głębiny. Malownicza ścieżka wiodła ku wzgórkowi, znajdującemu się opodal. Powietrze przepełniały zapachy najrozmaitszych kwiatów. Niebo zdawało się uśmiechać. Natura w tej chwili podobną była do czarownych ogrodów Hesperyd. Widok ten był tłem naszej rozprawy o stosunku sztuki do wiedzy. Naraz przyjaciel mój stanął, jak gdyby jakaś nadziemska siła ścięła w nim ruchy wszystkie. Skinął na mnie ręką bym zamilkł i patrzał...

Po za zieloną ścianą kaktusów i drzew figowych, o kilka kroków przed nami, przez otwarte okno rozkosznej kąpieli widać było jej wnętrze: tuż przy marmurowym basenie, w którego środku fontanna szemrała piosnkę spokoju, stała piękna nieznajoma przed ogromnem zwierciadłem, które z lubością obraz jej od stóp do głów w siebie wchłaniało. Prawdopodobnie szmer wody nie dopuścił do jej uszu szelestu naszych kroków. Nazwijcie to jak chcecie, gniewajcie się i oburzajcie jeśli się wam podoba: staliśmy niemi, nieruchomi, onieśmieleni, zachwyceni, wpatrzeni w cudowne zjawisko...

Była tem piękniejszą, że się zdawała nie spostrzegać na tem. Nóżki jej spoczywały na tygrysiej skórze z takim spokojem, jak gdyby jej żadne niebezpieczeństwo nie groziło. Cudowna piękność nie spieszyła wcale. Po kilku bezskutecznych usiłowaniach zapięcia włosów, opuściła ręce: sploty spadły na klasyczne ramiona... Nieznajoma zwróciła się do okna, podeszła do wazonu, z którego uszczknęła różę, poczem wróciła znów do zwierciadła i znów poczęła układać tym razem posłuszniejsze włosy, których śliczne zwoje ozdobiła szkarłatną różą. Zadowolona ze swego dzieła, sięgnęła ręką po ubranie, gdy nagle, w rozkosznej świątyni piękna, niepotęgowanego żadną sztuką, niekrępowanego niczem, nie znającego konwenansu, rozległ się krzyk przestrachu... Piękna ukryła twarz w dłoniach i strwożona, zawstydzona pierzchła w najciemniejszy kąt marmurowej kąpieli.

Pewniśmy byli, że jakieś ruchy naszych głów a może lustro zdradziło nas. Bądź co bądź należało opuścić stanowisko, którego niczem nie moglibyśmy uprawnić. Z żalem tedy, tą samą drogą, która nas tu doprowadziła, wróciliśmy nad morze.

* * *

— Ach! mój drogi — zawołał artysta — przyznam ci się, że wszystkie moje wzory, wszystkie najpiękniejsze modele bledną wobec tej przecudnie pięknej! A ty cóż na to powiesz?... Czyliż czarujące to zjawisko nie ukazało się jak gdyby po to tylko, by się stać wymownym dowodem moich przekonań? Głoś sobie teraz najwymowniej swoje rozkosze wiedzy, przyznać w końcu będziesz musiał, że i sztuka ma również tyle powabu, tyle wdzięku i uroku, iż doprawdy, gwiazdy ziemi posiadają więcej prawdopodobieństw zwycięztwa w walce o lepsze z waszemi gwiazdami nieba! Ach, czyliż wy, uczeni, nie zachwycicie się ślicznemi kształtami naszych gwiazd?... Co za całość!... Jakie kształty!

— Nie posądzaj mię o upośledzenie na smaku. Nie mogę zaprzeć się zachwytów, w które zawsze wprawić mię może wszystko co piękne, dodać zaś muszę, że piękność człowieka — i nawet bez sporu ustępując ci w tym punkcie — powiem, szczególniej piękność kobiety jest przedstawicielką wszystkiego, cokolwiek ziemia nasza pięknego posiada. Ale czy wiesz co w tej istocie zachwyca mnie najwięcej? Owóż, bynajmniej nie jej kształty pod artystycznym czy estetycznym względem rozważane, lecz to świadectwo jakie ona daje, świadectwo najdonioślejszego znaczenia. W tem pięknem ciele widzę tylko duszę odzianą tkaniną powietrzną.

— Jesteś wielbicielem paradoksów, mój drogi. Dusza w powietrznych osłonkach!... Trochę to zbyt idealne jak na ciało tak doskonale realne, tak cudownie, zachwycająco rzeczywiste. Że ładne owe dziewczę ma duszę — wcale temu nie przeczę, bądźże łaskaw miej też wzgląd na artystę: pozwól mu przyznawać realny byt jej ciału, siłom, życiu, barwie...

— Zabraniać wcale nie myślę. Ale właśnież piękność to jej fizyczna nie co innego, zmusza mię do przypuszczenia w pięknej nieznajomej istnienia duszy, tej niewidzialnej siły, która cud ten upostaciowała.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Mamy wszelką pewność, że posiadamy ciało. Istnienie duszy jest o wiele mniej widocznem.

— Dla zmysłów — zgoda. Wcale nie dla rozumu. Zmysły nas mylą bardzo często. Mylimy się, gdy na nich opieramy wiedzę o ruchu ziemi,

o naturze nieba, o trwałości ciał, o istotach żywych i o wszystkiem wreszcie. Zechciej tylko poświęcić chwilę uwagi temu co ci powiem...

* * *

— Gdy oddycham zapachem róży, gdy unoszę się nad pięknością formy, nad miękością kolorytu, nad jej wdziękiem w chwili jej pierwszego rozkwitu, czy wiesz co mnie najwięcej uderza? Oto dzieło ukrytej tej, nieznanej, tajemniczej siły, która przewodniczy życiu rośliny, która umie kierować jej pracą nad utrzymaniem życia, która wybiera cząstki powietrza, wody, ziemi, właściwe dla jej organizmu, a co najważniejsza, która umie spożytkować te cząsteczki i grupować je tak delikatnie, że wytwarza śliczną łodygę, zielone listki tak delikatne, płatki tak miękkie... Tę siłę tajemniczą nazywam właśnie duszą rośliny. Posadź do ziemi jedno obok drugiego nosiona lilji, żyta, dębu i brzoskwini; każde wytworzy inny, choć zawsze ten sam w ogólności organizm. Widziałem bluszcz, który umierał na resztkach starego muru, o kilka metrów od życiodajnej ziemi głębokiego parowu. Zrozpaczony, rzucił na los szczęścia jeden ze swych korzeni czarnoziemowi, dosięgnął żywicielkę, miłośnie się w nią zagłębił, tak, że niedawno jeszcze obumierający ożył, porzucił swe dawne stanowisko, pożegnał się na zawsze z murem i żyje dotąd na nowem miejscu. Widziałem wiązy, które szukały pożywienia w gruncie urodzajnym. Po niejakiem czasie szeroki rów oddzielił je od pożywienia. Groziło im niebezpieczeństwo utraty życia; wówczas postanowiły przesłać swe korzenie po nad rowem. I wybornie się to im udało: wróciły do dawnego stanu, ku wiekiemu zdziwieniu ogrodnika. Widziałem jaśmin heroiczny, który ośm razy przedostawał się przez deskę podziurawioną, oddzielającą go od światła: zwalczył usiłowanie upartego badacza, zmuszającego go gwałtem do przebywania w ciemnościach. Zdawało się sztucznemu hodownikowi, że przezwycięży roślinę: nie udało mu się.

Roślina oddycha, pije, przyjmuje pokarmy, odpycha, szuka, pracuje, żyje, działa zgodnie ze swymi instynktami: ta pędzi rozkoszny żywot, tamta cierpi, inna znów jest nerwową, wzruszoną. Czuła drży i pada zemdlona za najmniejszem dotknięciem. W pewnych godzinach dobrobytu *arum* jest gorący, gwoździk fosforyzuje, zapłodniona walsnerja śrubowata schodzi na dno głębi wodnej i tam spokojnie wyczekuje, aby dojrzał owoc jej miłości. Czyliż wobec tych objawów nieznanego życia, prawdziwy filozof może się powstrzymać od okrzyku podziwu, czy może zaprzeczyć, że w świecie roślin rozlega się ta sama pieśń, którą nuci wszechświat?

* * *

O duszy ludzkiej nie chciałbym sądzić inaczej, chociaż jest ona stokroć wyższą od duszy roślin i stworzyła cały świat myśli, który o tyle się wznosi po nad to wszystko co ziemskie, o ile gwiazdy niebieskie oddalone są od ziemi. Nie będę wcale mówił obecnie o niej z punktu myśli i jej zdolności intelektualnych, ale poprostu, jako o sile ożywiającej istotę ludzką. Otóż, podziwiam ją, tę siłę, grupującą atomy, które wdychamy lub wchłaniamy w siebie przez pożywienie i przez to wytwarzają się tak cudownie piękne istoty jak ta, którąśmy podziwiali przed chwilą. Gdybyśmy mogli kobietę tę ujrzeć w chwili jej urodzin, następnie zaś gdybyśmy badali jej rozwój stopniowy, rozwój drobnego tego z początku ciałka przez szereg lat aż do chwili zupełnego rozkwitu, ażaliż podobnaby nam było nie zwrócić uwagi na kwestję, w jaki sposób organizm ludzki utrzymuje się przy życiu, rozwija i wytwarza? Wiesz o tem: przez oddychanie i przez pożywienie...

Przez samo oddychanie, powietrze w trzech czwartych spełnia rolę żywiciela. Tlen podtrzymuje ogień życiowy, całe zaś ciało można porównać do płomienia ciągle podsycanego i odnawianego według praw palenia się materjałów. Brak tlenu gasi życie tak samo, jak gasi lampę. Przez oddychanie brunatna krew płynąca w żyłach odnawia się, staje się nową, nabiera karminowej barwy i przez arterje roznosi życie. Płuca są delikatną tkanką, pokrytą ogromem czterdziestu do pięćdziesięciu miljonów drobnych otworków, akurat drobnych o tyle, aby przez nie krew się mogła filtrować, a jednocześnie dość wielkich, aby przez nie przedostawać się mogło powietrze. Ciągła czynność zamienna zachodzi między powietrzem i krwią; pierwsze dostarcza drugiej tlenu, druga oddaje pierwszemu kwas węglowy. Z jednej strony tlen atmosferyczny pali w płucach węgiel, z drugiej płuca wydzielają kwas węglowy, azot i parę wodną. Rośliny przy oddychaniu (w dzień), przez proces przeciwny, wchłaniają węgiel, wydzielając kwas węglowy. Wbrew przeciwne te czynności utrzymują część równowagi powszechnej życia ziemskiego.

Z czego się składa ciało ludzkie? Człowiek dorosły waży średnio 70 kilogramów. W tej ilości zawiera się prawie 52 kilogramy wody we krwi i w mięśniach. Materje, składające się na nasze ciało, więc samo ono — toć to jest białko, fibrin, kazein i żelatyna, innemi słowy kombinacje orga-

niczne, powstałe z pierwiastków: tlenu, azotu, wodoru i kwasu węglowego. Znajdujemy również substancje bezazotowe, takie jak: guma, cukier, tłuszcze, krochmal. Te substancje również przechodzą przez nasz organizm: ich węgiel i wodór, pod działaniem tlenu, wchłanianego przy oddychaniu, wydzielają się z nas pod postaciami kwasu węglowego i wody.

Woda, jak ci wiadomo, jest związkiem dwóch gazów: tlenu i wodoru: powietrze — mieszaniną dwóch gazów, tlenu i azotu, do których w mniejszej ilości natura dodaje wodę w postaci pary, kwas węglowy, amonjak, ozon, który zresztą jest tym samym tlenem i t. d. Więc cóż? — widzisz, że ciało nasze jest złożone z gazów zgęszczonych...

— Ależ — przerwał mi w tem miejscu mój przyjaciel — nie żyjemy przecież wyłącznie powietrzem. Potrzebujemy w pewnych godzinach, które nam żołądek wskazuje, dodać coś niecoś, co ma również swoją wartość, coś naprzykład takiego, jak skrzydło bażanta, szklanka dobrego wina, albo — gdy ci to niesmakuje — to szparagi, raki... Słowem co ci się podoba.

— Tak, masz rację, wszystko to istotnie przechodzi przez nasz organizm i odnawia tkanki, nawet dość prędko gdyż nie trzeba na to lat siedmiu, jak myślano dawniej, lecz dość jest kilka miesięcy, aby ciało nasze stało się zupełnie nowem, innem od dawnego. Wracam znów do tej pięknej istoty, która przed chwilą, jak cudowne zjawisko ukazała się nam... niestety, na krótko tylko. Otóż ciało, które tak nas zachwyciło, nie istniało wcale przed trzema-czterema miesiącami: te ramiona, ta twarzyczka, te oczy, te usta, te włosy, aż do paznogci — słowem, cały ten organizm jest po prostu jednym ciągłym prądem cząsteczek, płomieniem ciągle nowym, rzeką, którą się widzi przez życie całe, a w której jednak nigdy nie można ujrzeć po raz drugi tych samych strumieni. Wszystko to więc jest gazem, niczem więcej jak gazem przyswojonym, zgęszczonym, zmienionym; przeważnie zaś — powietrzem. Kości nawet tej istoty, dziś twarde i trwałe, wytworzyły się i nabrały siły prawie niewidocznie. Nie zapominaj przytem, że całe nasze ciało składa się z niewidzialnych cząsteczek, które się nie dotykają wzajemnie, odnawiając się bez przerwy.

Owóż, zważ-no teraz: czy na stole obiadowym zastawią jarzyny czy owoce, czy należymy do wegetarjanistów, czy przeważnie hołd mięsu składamy, w rzeczywistości spożywamy wciąż tylko substancje, — substancje, prawie całkowicie początek swój czerpiące z powietrza: ta brzoskwinia, toć to woda i powietrze; gruszka owa — winne grono — migdał — alboż nie są tylko powietrzem, wodą, kilkoma pierwiastkami gazowymi lub płynnymi, pociągniętymi do wytworzenia tego lub innego owocu przez posiew, ciepło słoneczne deszcz?... Szparagi, sałata, groszek zielony, kapusta, groch i t. d., i t. d., wszystko to żyje w powietrzu i przez powietrze! To co daje ziemia, to czego poszukuje nasienie, to są znów gazy i to te same gazy: azot, tlen, wodór, węgiel i t. d.

Jeśli zwrócimy się do befsztyku, kurczęcia lub do innego jakiegobądź »mięsa«, różnica będzie nie wielka. Wół zarówno jak baran karmią się trawą. Czy skosztujemy kuropatwę czy indyka, zająca, czy bekasa, wszystkie te pokarmy, pozornie tak różne, są znowuż tylko przeobrażonemi roślinami, te zaś są zbiorem cząsteczek, utworzonych z wyliczonych poprzednio gazów, z powietrza, z wody. Nieważkie te cząsteczki dla oczu naszych są niedostępne. Czemkolwiek więc będziemy się karmić, ciało nasze utworzone, podsycane i wytwarzające się nieustannie w swych organach przez asymilowanie cząsteczek dzięki oddychaniu i pożywieniu, jest w rezultacie jednym wielkim prądem ciągle się przeobrażającym, a pozostającym pod naczelnem kierownictwem niematerjalnej tej siły, która nas ożywia. Tej sile mamy pełne prawo nadać miano duszy. Ona to grupuje atomy, które są jej potrzebne, odrzuca te, których nie potrzebuje, i wychodząc z niepochwytnego punktu, z niedającego się pojąć zarodka, stwarza ostatecznie, raz Apollina belwederskiego, drugi raz Venus kapitolińską. Fidjasz jest poprostu niezręcznym naśladowcą w porównaniu do tej siły wielkiej i tajemniczej. Pigmaljon — powiada mitologja zakochał się w swem dziele. Błąd, pomyłka! Pigmaljon, Praksyteles, Michał Anioł, Benvenuto, Canova stworzyli tylko... posągi. O ileż wyższą, szczytniejszą jest siła, która stwarza ciała mężczyzny i kobiety! Siła to jednak nie materjalna, niewidoczna, nie dająca się ująć ani pochwycić, nieważka jak i owe przyciąganie, kołyszące światy do harmonji powszechnej. Ciało, chociażby w oczach naszych uchodziło za rzecz najbardziej materjalną, niczem innem nie jest, tylko harmonią, stworzoną przez ową siłę wewnętrzną. Widzisz tedy, że nie przekraczam wcale granic wiedzy pozytywnej, nadając młodemu temu dziewczęciu miano duszy w powłoce powietrznej. Stosuje się to oczywiście w równym stopniu do ciebie, do mnie, do nas wszystkich bez wyjątku.

* * *

Każda cząsteczka w danej chwili do składu naszego organizmu należąca, prędzej lub później

opuści go, bądź przez oddychanie, bądź przez wydzielanie potu lub inną drogą i przejdzie do atmosfery, będzie do niej należeć przez większy lub mniejszy przeciąg czasu, następnie zaś wchłonięta przez inny organizm, stanie się cząstką rośliny, zwierzęcia, człowieka. Atomy, które w danej chwili organizm twój stanowią, nie były wczoraj jeszcze jego własnością; żaden zaś z nich stanowczo nie był cząstką twoją przed kilku miesiącami. Gdzież one były? Bądź w powietrzu, bądź w innych organizmach. Wszystkie atomy, które tworzą teraz twoje tkanki organiczne, twoje płuca, oczy, mózg, nogi i t. d., już kiedyś należały do innych tkanek organicznych... Jesteśmy wszyscy zmartwychpowstałymi trupami, przygotowanymi z prochów naszych przodków. Gdyby wszyscy ludzie, którzy żyli na ziemi od chwili ich powstania do dziś dnia nagle zmartwychwstali, na każdą stopę kwadratową lądu stałego przypadłoby po pięciu, musieliby przeto stawać jedni na drugich, aby się pomieścić: w żadnym zaś razie nie mogliby oni zmartwychwstać jednocześnie, gdyż bardzo wiele cząsteczek służyło do utworzenia całego szeregu jednostek. Tak samo nasze ciało, pewnego dnia podzielone na swe zasadnicze, najdrobniejsze cząstki, znajdzie się w organizmach naszych następców.

Każdy zatem atom powietrza, ciągle przechodzi z życia do życia, ucieka ze stanu śmierci, aby znów być materjałem nowego życia, kolejno, w wietrze, ziemi, fali, zwierzęciu, czy kwiecie, który przechodzi z materji jednego ciała, lub organizmu do innych. Powietrze jest niewyczerpanem źródłem wszelkiego życia, jest ono nadto ogromnym rezerwoarem, do którego wszystko co umiera wlewa swe ostatnie tchnienie: pod jego to wpływem, w działaniu wciąż od niego zależnem, rośliny i zwierzęta, wszelkie organizmy rodzą się i następnie giną. Życie i śmierć znajdują się na jednakich prawach w powietrzu, którem oddychamy i bezustannie po sobie następują przez ciągłą zamianę cząsteczek gazowych; atom tlenu, który ten stary dąb wydziela, dostaje się do płuc dziecka w kolebce; ostatnie westchnienia umierającego muskają świetną koronę kwiatu albo ulatują nad uśmiechającą się do słońca zieloną łąką, a w ten sposób, przez nieskończony łańcuch cząstkowych śmierci, atmosfera ciągle podsyca życie na powierzchni ziemi. Teraz, gdybyś chciał jeszcze wynaleźć jakie przeczenia — poszedłbym dalej i dodałbym, że nawet odzież nasza, tak samo zupełnie jak nasze organizmy, są złożone z substancyj, które przedtem były gazami. Weź tę nitkę, rozciągnij ją — co za opór!... I jakąż to nieskończoną prawie rozmaitość tkanin wytworzył przemysł za pomocą swych warstatów! A jednak, czemże jest ta nitka lnu, konopi czy bawełny? To są tylko bryłki powietrza znajdujące się obok siebie, które trzymają się razem i wytwarzają pewną całość dzięki jedynie sile międzycząsteczkowej. Czemże jest ta nitka jedwabiu lub wełny? Innym układem cząsteczek. Zgodzić się przeto musisz, że nawet odzież nasza nie jest czem innem, tylko gazem, powietrzem, substancją czerpaną z powietrza, złożoną z tlenu, azotu, węgla, pary wodnej i t. d.

Rzekł mi na to rzeźbiarz:

— Widzę nie bez pewnego zadowolenia, że sztuka nie jest wcale tak daleką od nauki, jak sądzą w pewnych kołach. Jeśli twoja teorja ma dla ciebie wartość czysto i wyłącznie tylko naukową, dla mnie jest ona sztuką i to najpiękniejszą, najlepszą sztuką. Zresztą czyliż w naturze wszystkie te różnice i odcienia istnieją? Natura nie zna ani sztuki, ani wiedzy, ani malarstwa, ani rzeźby, ani muzyki, ani fizyki i chemji, ani astronomji, ani tysiąca systematycznych działów i podziałów, które są wytworem naszym. Spójrz na to niebo, na to morze, na Alpy i ich obraz w wodzie się odbijający, na te różowe obłoki: wszystko to stanowi wielką jedność. Wszechświat cały jest jednością. Ponieważ fizyka cząstkowa wykazuje nam, że niemasz wiele ciał, że nawet w sztabie żelaza lub platyny atomy wzajem się nie dotykają, niechże nam choć dusze zostaną: nikt na tem nie straci.

— Tak, jest to fakt, przeciwko któremu żaden przesąd nie może stawić czoła... Istoty żyjące są duszami w powietrznych osłonach... Ubolewam nad światami, pozbawionemi atmosfery.

* * *

Po długiej przechadzce wróciliśmy znów nad morze i znaleźliśmy się bardzo blisko miejsca, z którego wyszli. Docieraliśmy już najbliżej stacji drogi żelaznej, gdy z po za załamu starego muru wyszły na nasze spotkanie dwie panie. Były to: księżna V... i jej córka, któreśmy po raz ostatni widzieli na balu u prefekta. Złożyliśmy im ukłon i znikliśmy pod cieniem drzew. Ciekawa córa Ewy, młoda panienka obejrzała się za nami i — widziałem to z pewnością — nagły rumieniec wystąpił na jej policzki. Ale być może, sprawił to odblask promieni zachodzącego słońca.

— Sądzisz może — pochwycił artysta, oglądając się za dziewczęciem, żeś zmniejszył mój zachwyt dla piękności? Otóż przeciwnie, piękno stało się dla mnie jeszcze droższem niż przedtem, od-

czuwam je głębiej, a w tej... którąśmy widzieli, gotów jestem zawsze widzieć najwznioślejszy wyraz harmonji. Mamże ci się przyznać? — Ciało ludzkie uważane jako zewnętrzny objaw duszy-kierowniczki zyskało w moich oczach na szlachetności, na wdzięku — ma więcej światła, więcej blasku...

Zbrodniarz z urodzenia.

Lombroso. *L'homme criminel.* Paryż 1887. — według sprawozdania *Ludwika Krzywickiego* w „Prawdzie".

Dotychczas nauka prawno-kryminalna obracała się w kole zaiste scholastycznej natury. Brała bowiem jedynie teksty kodeksów karnych, przeglądała je, wykładała lub objaśniała. Przypomina to najzupełniej te czasy, gdy cała wiedza przyrodnicza zawierała się w komentowaniu odpowiednich ustępów z Arystotelesa. Przestępstwo służyło za punkt wyjścia, a rozpatrywano je w zupełnem oderwaniu od człowieka; pytano, nie kto i dlaczego popełnił zbrodnię, lecz przedewszystkiem, jaką ona była. Szło wyłącznie o wymierzenie kary odpowiednio do rozmiarów występku. Nastały jednak inne czasy. Do nauki kryminalnej zwrócili się ludzie, którzy lubo nigdy nie zagłębiali się w studja nad kodeksem i być może nie wiele mieli do czynienia z całem rusztowaniem wywodów prawniczych, posiadali wszakże głębokie wykształcenie i doświadczenie w przedmiocie natury człowieka, zwłaszcza człowieka-zbrodniarza. Odrzucili oni wszelkie kodeksy i formułki jako czczą gadaninę; suchym a scholastycznym komentarzom nad tekstami przeciwstawili drgające życie, spostrzeżenia antropologiczne i psychiatryczne. Przewrót, przez nich sprawiony, jest niezmiernej doniosłości. Zburzono scholastyczność, z jaką dotychczas patrzano na zbrodnię. Według nowej szkoły, nie przestępstwo mieć winniśmy przed oczami, lecz popełniającego je zbrodniarza. Przestępców wypada podzielić na kategorje i w miarę tego, jak ich natura i charakter dają mniejszą rękojmię uczciwości, uczynić tem bezwładniejszymi na przyszłość. Nie zbrodnię, lecz zbrodniarza należy oceniać i myśleć nie o karze, lecz o zabezpieczeniu społeczeństwa na przyszłość od zamachów z jego strony.

Najdotkliwszy cios scholastycznej kazuistyce prawników kryminalistyki zadały badania antropologów włoskich nad naturą przestępcy, wyłaniając z siebie tak zwaną szkołę antropologiczną prawa karnego. Wśród nich na jednem z pierwszych miejsc trzeba postawić pracę, jeżeli się nie mylimy, doktora medycyny, Cezarego Lombroso o *Człowieku-przestępcy*, przetłumoczoną świeżo na język francuski. Jego długie i drobiazgowe poszukiwania rzuciły światło na punkt jeden najwyższej wagi; wykazały mianowicie wśród zastępów zbrodniczych istnienie osobnego typu, oddanego przestępstwu nie z potrzeby, lecz z zamiłowania, i spełniającego występek pod wpływem takiego usposobienia. Weźmy kika przykładów. Strasburg pewnego dnia zostaje zaniepokojony dwoma tajemniczemi morderstwami, lecz sprawcy nie wykryto; dopiero w lat kilka potem zatrzymano niejakiego *abbé* Terenka, który się przyznaje, że on to je popełnił — dla prostej przyjemności widoku śmierci. W dzieciństwie uprowadzał dzieci do lasu, tu je mordował, paląc następnie trupy. »Złodziejstwo noszę we krwi — spowiada się jeden rzezimieszek; nawet na widok igiełki nie byłbym w stanie powstrzymać się od wzięcia jej, lubo później gotówbym ją zwrócić«. Inny powiada, że »pohamować popędu ku kradzieży nie jest w stanie, nawet gdyby miał już pełne kieszenie; jeżeli nie znalazł sposobności dogodzenia tej potrzebie, nie może spać, wstaje w nocy, popychany przez siłę nieprzepartą i unosi pierwszy lepszy przedmiot, który popadnie mu pod rękę«. Verzen udusił kilka kobiet z powodu lubieżnej przyjemności, którą znajdował w drganiach umierającej ofiary; upajał się ich krwią i nawet wyrywał kawałki ciała dla spożycia. Oto kilka postaci, namaszczonych jakby znamieniem przekleństwa. One to stanowią wśród złoczyńców tę część, którą antropologia włoska ochrzciła mianem »zbrodniarzy z urodzenia«, usiłując znaleźć jej cechy typowe i skreślić organizację fizyczną i psychiczną.

»Zbrodniarz z urodzenia« w porównaniu z człowiekiem zwykłym posiada mniejszą objętość oraz obwód czaszki, cięższą i silniej rozwiniętą szczękę dolną, znaczniejszych rozmiarów jamy oczne, wydatniejsze łuki nadoczne; w ogóle okazuje niższość w rozwoju przednio-twarzowych, wyższość zaś — tylno-czaszkowych wyznaczników i czy to w wygórowaniu jednych, czy też obniżeniu innych cech anatomicznych, zawsze przedstawia jakąś nieprawidłowość. Do tego dodać należy niesymetryczność w całej budowie czaszki. Jedne z tych właściwości, zwłaszcza umiejscowione w twarzy i podstawie czaszki (wydatność szczęki dolnej, nizkie czoło), przypominają dzikiego: inne (nieregularność, zgrubienia, zlania) — obłąkańca. Najciekawszem jest to, że te różne uwstecznienia i nieprawidłowości znajdują się nie pojedyńczo, lecz w połączeniu po kilka. Zwracając się do mózgu, spostrzegamy niesymetryczność obu półkul ze znaczniejszym rozwojem prawej, oraz, skoro odliczymy wypadki chorobliwe, mniejszą objętość; organ ten przedstawia liczne ślady atawistyczne i chorobne, zwła-

szcza móżdżek wykazuje wielokrotne odchylenia, co wpływa na kształt kości potylicowej; badania histologiczne uwidoczniają w centrach nerwowych najrozmaitszego rodzaju zwyrodnienia. Widzimy też liczne nieprawidłowości w systemie krwionośnym i chroniczne niedomagania jego organów środkowych. »Zbrodniarz z urodzenia« jest wzrostu wielkiego, cieżki, lecz słabych mięśni, brzydki, często zezowaty lub daltonista; posiada twarz długą, wystające policzki i podbródek, tak, iż przypomina mongoła lub murzyna; nizkie i pochyłe czoło, zbrużdżone zmarszczkami, nędzne uwłosienie na brodzie, lecz gęstą czuprynę, uszy prosto osadzone, nos często spłaszczony lub skręcony. Mężczyzna wyglądem twarzy przypomina kobietę, ta zaś mężczyznę. Niesymetrję twarzy należy położyć na karb nadmiernego rozwoju prawej półkuli mózgu; dzięki temu spotykamy zwiększoną siłę i czułość w lewej połowie ciała, np. procent oburęcznych jest trzy razy większy, niż powszechnie; oko lewe lepiej widzi, a wrażliwość na ból i zimno również większą jest po lewej stronie. Wszelako wrażliwość na bodźce zewnętrzne, ból i zimno bywa chorobliwie obniżoną, wyjątek stanowią podniety atmosferyczne, działające niezwykle podburzająco. Przestępca rumieni się z trudnością; często spotykamy u niego anelgezję. Nieczułością i zagłuszeniem zmysłów wyjaśnia się większa trwałość życia, obfitość blizn i utatuowań, nawet w miejscach najdelikatniejszych, brak czułości moralnej, częstość samobójstwa i obojętność, z jaką on dręczy i morduje innych. Lecz chociaż wytrzymały na ból, jest przecież skończonym tchórzem i drży na myśl o karze. Tą samą nieczułością zmysłów, oraz nieprawidłowością rozwoju uczuć, to przytępionych, to chorobliwie wygórowanych, można wytłómaczyć cały charakter złoczyńców. Okazują go już w dzieciństwie. Samogwałt, okrucieństwo, skłonność ku kradzieży, próżność, przebiegłość, kłamanie, wstręt do nauki, charakter prędki i działający przerwami, wszystko to zwiastuje w dziecku przyszłe narowy przystępcy. »Zbrodniarz z urodzenia jest zazdrosny, mściwy, okrutny, nienawidzi bez powodu lub z przyczyn błahych z obojętnością spogląda na kary, wybucha uniesieniem bez przyczyny, a napady te pojawiają się często w sposób perjodyczny. Jest leniwym, rozpustnym, niezwykle ruchliwym i zręcznym jak małpa, nie troszczy się o jutro, namiętnie oddaje się grze, popełnia największe łotroswtwa i zbrodnie bez najmniejszych wyrzutów, występek sprawia mu przyjemność. Rozwój uczuć sympatycznych w zaniku, lecz za to próżność i wrażliwość na pochlebstwo niezmierna. Wytwarza własny żargon, mimo ciągłej zmiany pełen archaizmów, analogicznej budowy w odmiennych krajach i odznaczający się skróceniami i nazywaniem przedmiotu przez jednę jakąś własność. Lubi łączyć się w związki zbrodnicze, oparte na dyktaturze i kodeksie drakońskim. Przestępcy różnych narodowości wymykają się z pod typu rasowego i zlewają w jeden, kosmopolityczny.

Tak się przedstawia w ogólnym zarysie postać zbrodniarza z urodzenia. Rysy pewne przeważają szczególniej w jednych, drugie w innych kategorjach przestępstwa. Zabójcy i bandyci posiadają większą czaszkę niż złodzieje, więcej ważą i odznaczają się potężniejszą siłą mieśni; włosy obfite i kędzierzawe, broda rzadka, wargi cienkie, szczęka dolna i kości licowe silnie zbudowane, uszy długie, zęby oczne (kły) potężne, nieprawidłowości w budowie czaszki, wzrok szklanny, chłodny, nieruchomy, nos orli jak u ptaków drapieżnych, głowa i tułów pokryte licznemi bliznami, nie lubią wina, lecz natomiast oddają się namiętnie grze i kobietom. U gwałcicieli oko wystaje, fizjognomja jest delikatną, wargi i powieki potężne, głos ochrypły; w przeciągu życia są prawie z nielicznemi przerwami bezsilni płciowo i napół obłąkani, organy płciowe to doprowadzone do zupełnego zaniku, to znów niezmiernie rozwinięte; twarz zazwyczaj niesymetryczna; w tej kategorji często spotykamy kretynów, jąkałów, garbatych, rachitycznych i ospowatych. Złodziej posiada często wygląd kobiecy, namiętnie lubi jaskrawe kolory i wszelkie świecidełka oraz orgje, towarzystwo i hałas wielkich miast. Jest nadzwyczaj przesądny, ruchliwy, słaby, lecz zwinny; ma w sobie coś małpiego.

Wglądając się w cechy »zbrodniarza z urodzenia«, otrzymujemy postać pośrednią pomiędzy chorym a dzikim. Jedne bowiem są natury czysto atawistycznej, inne — patalogicznej. Pewną część przynosi on z sobą na świat i jeżeli są one zbyt potężne, żadne wychowanie nie zagłuszy współrzędnie istniejących popędów zbrodniczych; pozostałe nabywa już wskutek bezustannego ćwiczenia się w swem »rzemiośle«. Wejrzyjmy nieco bliżej, a uderzy nas rażące podobieństwo pomiędzy przestępcą z jednej, a »obłąkańcem zmysłu moralnego z drugiej strony. Obłąkaniec ten to jednostka pozornie zdrowa na umyśle i ciele, lecz z chorobliwie ukształtowanę uczuciowością; zdradza go przecież wązka i ostra czaszka, to znów zbyt wydłużona lub nadmiernie zaokrąglona, to niesymetryczna, nieproporcjonalność oczu, wadliwość zębów, liczne a chorobliwe zakłócenia w działalności fizjologicznej, konwulsyjne ruchy mięśni twarzy, zezowatość, lekka ataksja, przelotna lub perjodyczna nad-

wrażliwość, zanik lub niezwykła pobudliwość popędów płciowych, różnego rodzaju nieczułości zmysłowe. Lecz przedewszystkiem zwraca na się uwagę znieczulenie moralne; są to kretyni uczuciowi, niezdolni wznieść się do jakiegoś altruizmu, lub jeżeli nawet posiądą uczucia natury sympatycznej, tedy nawskroś przewrotne; matka np. z miłości ku córkom oddaje je mężczyznom jako nierządnice, ażeby dostarczyć przyjemności płciowych. Zresztą i inteligencja zdradza niepowiązanie Porównywując obłąkańca zmysłu moralnego ze zbrodniarzem urodzonym, nie podobna nie uchwycić mnóstwa rysów znamiennych a wspólnych, zwłaszcza pod względem uczuciowym. »Obłąkaniec moralny stanowi gatunek, zbrodniarz z urodzenia jednę z odmian jego«. Atoli zestawiając obu z epileptykiem, trudno zaprzeczyć istnienia pomiędzy nimi wszystkimi jak najściślejszego związku. Już to daje dużo do myślenia, że prowincje królestwa włoskiego, posiadające najwięcej epileptyków, zarówno dostarczają najznaczniejszego zastępu gwałcicieli i morderców, oraz iż wśród przestępców znajdujemy olbrzymi zaiste procent tego rodzaju chorych. Wówczas gdy epileptycy wśród ludności wynoszą 0,6%, dostarczają 5—11% zbrodniarzy i to najcięższych. Zresztą w tem pokrewieństwie utwierdza zbadanie cech anatomicznych, fizjologicznych i psychicznych wszystkich trzech kategoryj. Epileptyk odznacza się niesymetrycznością czaszki, oraz jej wygórowaniem, czy to w objętości, czy wreszcie w obniżeniu rozmiarów, wydatnością dolnej szczęki i kości licowych, zwykłością wyrazu zbrodniczego twarzy, nieczułością zmysłową na ból, nienormalnym rozwojem funkcyj w lewej części ciała, akrobatyczną niemal zwinnością, lenistwem, gniewliwością, sprowadzającą za lada powodem wybuchy wściekłości, przewrotnością żądz i uczuć, kłótliwością i niestałością, okrucieństwem, chęcią niszczenia, palenia, pastwienia i ludożerstwa, obfitością samobójstw i utatuowania itd. itd. Tożsamość w punktach wyliczonych jest zupełną. Wreszcie owe wybuchy »nieprzepartej siły« u zbrodniarza są tylko swego rodzaju atakami epileptycznymi. Z tych to powodów Lombroso zbrodniarstwo z urodzenia wraz z obłąkaniem zmysłu moralnego zalicza do stanów epileptycznych. Przestępca z urodzenia jest przedewszystkiem człowiekiem chorym od chwili przyjścia na świat, nerwopatykiem, u którego powstrzymanym został do tego rozwój jeszcze innych stron organizmu. Wskutek patologicznego stanu nerwów, zwłaszcza atawizmu i niesymetryczności mózgu, czaszka i twarz przyjmuje odpowiednią formę; dzięki wadliwemu przewodnictwu nerwów, powstają różne nieczułości i wywrócenie strony emocjalnej. Niektóre środkowe komórki nerwowe są źle karmione i przedstawiają każdej pobudce zewnętrznej *locum minoris resistentiae* (miejsce oporu mniejszego), stąd owe objawy epileptyczne »siły nieprzepartej« ku niszczeniu, idee i chucie chorobliwe.

Lecz »zbrodniarz z urodzenia« stanowi jedynie pewną czastkę wśród tłuszczy przestępców. Obok niego istnieje jeszcze kryminalista przypadkowy, z warjactwa, z namiętności, wskutek opilstwa. I kiedy u tamtego występek związany jest z organizacją od urodzenia, ci popełniają go pod wpływem nabytej choroby, otumanienia alkoholem, dla uniknięcia głodu; dla jednego zbrodnia jest stanem normalnym, stałym i przyjemnym, u innych — przypadkowym i niepożądanym. Jedynie złoczyńca pierwszej kategorji stanowi żywioł nierokujący poprawy; gdy inny wśród odmiennych warunków lub przy zdrowych zmysłach nie popełniłby zbrodni, on działa wskutek występnego usposobienia, znajdując w czynach kryminalnych źródło rozkoszy i zadowolenia. On też dostarcza największego zastępu recydywistów. Dowiedzenie istnienia takiego człowieka patalogicznego z nawskroś niebezpiecznymi popędami, zmusza scholastyków prawa karnego do złożenia oręża. Czyż za jakiś czyn występny jednakowo będziemy sądzili zbrodniarza przypadkowego i zbrodniarza z urodzenia? Ten ostatni pozostanie zawsze czem jest, i chwila wypuszczenia go na wolność przysparza społeczeństwu jedno więcej zwierzę krwiożercze. Zamiast »karania« czasowego, normalniejszem jest oddanie go do odpowiednio urządzonych szpitalów na leczenie, jeśli to możliwe, lub dożywotnie mieszkanie. W cóż więc obracają się wszystkie określenia przez kodeks karny według przestępstwa? Czyż uwzględniać należy czyn popełniony, czy też zważać, kto go popełnił? Psychiatra jest tu pożyteczniejszy nad wszystkie kodeksy. Co zaś do procentu »zbrodniarzy z urodzenia« wśród rzeszy występców kryminalnych, Lombroso podaje cyfry następujące: Jeśli za probierz weźmiemy obecność wszystkich cech typu, otrzymamy 23% w ogólnej liczbie; skąd, rozpatrując pojedyncze kategorje, dostaniemy 36% dla zabójców i 25% dla złodziejów; skoro zaś zatrzymamy się nad istnieniem oddzielnych rysów, zamiast 23%, dojdziemy do 40%. Wśród recydywistów procent jest większy.

Oto w streszczeniu zawartość pracy Lombrosa. Postawiono zarzuty przeciw przesadzie tej lub owej cechy znamiennej, przeciw zbytniemu zbliżaniu zbrodniarza z dzikim, szybkiemu i nieuzasadnionemu uogólnianiu nielicznych faktów i wysnuwaniu

z ich reformy w prawodawstwie itd., lecz istnienie samego typu, wobec licznych i sumiennych poszukiwań, nie ulega wątpliwości. Nawet najwięksi krytycy Lombrosa przyznają mu w tym względzie słuszność. Dopiero gdy przechodzimy na pole żądań praktycznych, spostrzegamy liczniejszych przeciwników. Antropologiczna szkoła prawa karnego żąda z jednej strony obostrzenia postępowania względem »zbrodniarza z urodzenia« (domaga się nawet kary śmierci i powstrzymania rozpłodzenia jego rasy); dla usunięcia innych kategoryj złoczyńców — odpowiednich reform: ograniczenia produkcji alkoholu, wywołującego i zwyrodnienie alkoholiczne i epileptyczne, rozszerzenia prawa rozwodowego, szkół świeckich z żonatymi nauczycielami, schronień dla sierot itd. Letourneau, pod którego redakcją wyszło dzieło antropologa włoskiego w przekładzie francuskim, przeciwstawia temu już szersze i humanitarniejsze żądania: urządzenie dla »zbrodniarzów z urodzenia« odpowiednich szpitalów dożywotnich, oraz »głębokie i rozumne przeobrażenie ustawy karnej i niemniej radykalne reformy społeczne, usuwające nędzę i alkoholizm«; zauważa przytem, że i sam »zbrodniarz z urodzenia« jako wytwór zwyrodnienia epileptycznego i alkoholicznego, dałby się znacznie zmniejszyć przez odpowiednie ulepszenia ustawy społecznej. Lecz wszystkie te kierunki, oparte na założeniu istnienia zbrodniczych popędów nie do wykorzenienia przestępców przypadkowych, na odrzuceniu wolnej woli, a uważaniu zbrodnictwa za rezultat organizacji wewnętrznej człowieka, oraz stosunków społecznych, trzymają się solidarnie wobec wstecznikow, widzących na zbrodnię jedno tylko lekarstwo — zastraszenie i żądających zastosowania »kary« bez względu na bodźce pchające ku złemu czynowi i z wstrętem odrzucających zapobieżenie przestępstwu przez stosowne reformy, nie w kodeksie, lecz społeczeństwie.

Najdawniejszy rękopis J. I. Kraszewskiego

Notatka bibljograficzna.

Po śmierci ludzi znakomitych i powszechnie znanych, jak ś. p. Kraszewski, każdy bodaj najmniejszy szczegół odnoszący się do ich życia lub pism, interesować może nie tylko biografów, ale i publiczność.

Podług najnowszego spisu bibljograficznego, wydanego w Krakowie z powodu pogrzebu J. I. Kr. (»Sześćdziesiąt lat pracy J. I. Kr. 1828 — 1887, przez K. Estreichera«), widzimy, że najpierwszymi utworami niezmordowanego autora polskiego z lat 1826 — 1829 były: 1) Bajki, 2) Plutarcha, Życie Cycerona, 3) Historja języka polskiego. Istnienie wyżej przytoczonych rękopisów podawane jest przez biografów (Nowolecki i inni) jako wątpliwe i niepewne, co z kolei kwestjonuje też i prawowitość daty jubileuszowej, obchodzonej w roku 1879 w Krakowie. Otóż, posiadając w naszej bibliotece w Romanowie oryginalny autograf, zawierający w całości *„Życie Cycerona“*, jesteśmy w możności podać dokładną wiadomość o najpierwszym bodaj utworze J. I. Kraszewskiego.

Całkowity tytuł rękopisu jest taki: *„Życie Marka Tulliusza Cycerona, przetłumaczył z Plutarcha i objaśnił przypisami Kraszewski. Historia quoquomodo scripta delectat.* Plin. Epist. 8 Libr. V.« Na odwrotnej stronicy znajdujemy taki przypis: *„Adamowi Jundziłłowi w dowód przyjaźni, pracę poświęca tłumacz roku 1830. Nomen amicitiae barbata corda movet. Ovid.“*

Gormat zwykłej ćwiartki, papier zżółkły, wpadający w odcień różowawy, kart jest 73 czyli stronnic 145, wierszy 2,681, z których na stronnicę przypado od 16 do 20. Przypisów większych i mniejszych 55. Pismo wszędzie bardzo piękne, wyraźne, niemal wykaligrafowane, widocznie z brulionu przepisane i przeznaczone do druku. Każda stronica nadzwyczaj starannie oznaczona ostrzem cyrkla w czterech rogach i te cztery punkty są połączone linjami, w tych zaś kwadratach polinowano.

Podług relacji ustnej osób pamiętających owe czasy, Adam Jundziłł, dziś nieżyjący, był synem Wiktora, pozostawał w ścisłej przyjaźni z Kraszewskim, wielki amator muzyki, dobrze grał na wiolonczelli, a ponieważ Kraszewski biegle grał na fortepianie, przeto często schodził się ze swym kolegą i akompanjował przyjacielowi. Prawdopodobnie jest to ten sam Adam Jundziłł, który wydał w Paryżu *„Considerations sur l'avenir des relations commerciales entre l'Europe et la Bolivie“* Paryż 1856, — o czem Estreicher wzmiankuje w swojej bibljografji.

»Życie Cycerona« było napisane w roku 1829 lub nawet może nieco wcześniej, czego dowodzi notatka nakreślona obcą ręką, znajdująca się na karcie tytułowej u góry: »Nr. 463. »Отъ Студента Абихта, Декабрь 28 дня 1829«.

Adam Pług (»Księga jubileuszowa« str. XXV), uważa to za adnotację cenzora, nie dodawszy, że

to jego własne przypuszczenie. W »Kalendarzyku wileńskim na rok 1828 (dla Wydziału Naukowego wileńskiego)«, oraz w Encyklopedji Orgelbranda znaleźliśmy, że Adolf Abicht był profesorem patologji na »Oddziale nauk lekarskich« od 1825 do 1841 r.; jaki zaś był związek między studentem Abichtem, prawdopodobnie synem profesora a Kraszewskim, nie mogliśmy dociec. Nadpis ten oznacza tylko odbiór rękopisu przez osobę niepodpisaną, ale dlaczego koniecznie cenzora, nie zaś naprzykład profesora literatury klasycznej dla przejrzenia rękopisu swego ucznia przed podaniem do cenzury i do druku? — lub coś podobnego?...

Tłómaczenie odznacza się piękną polszczyzną, przypisy dowodzą niemałego oczytania się w literaturze klasycznej oraz polskiej, gdyż tłómacz często przytacza cytacje z Sallustjusza, Cezara, Naruszewicza, Knapskiego i t. d.; prócz tego znajdują się również własne spostrzeżenia, z których choć jedno dla przykładu przepisujemy: *„Rzymianie gardzili obcemi narodami i nazywali Barbarzyńcami, toż czynili Grecy, obelżywym więc być musiało, gdy kogo Grekiem nazywano, tak jak u nas gdy kogo Niemczylkiem lub Francuzem zowią“.*

Dla osobliwości przytaczamy, że »Kalendarzyk wileński na r. 1828« (ub. ostatni z rzędu podług Estreichera), był drukowany u Manesa, Romma i Comp. przy ulicy Niemieckiej pod nr. 296, gdzie właśnie wyszedł z druku prawdopodobnie najpierwszy dotąd bibljografom nieznany utwór J. I. Kr. o czem wspomina sam ś. p. Kraszewski, powiadając: »Jeszcze przed Noworocznikiem Klimaszewskiego jakaś bibuła moja bezimiennie wyszła u Zymmela, Manesa i Romma, oraz pamiętam, żem tłómaczył Życie Cycerona z Plutarcha w r. 1828—29« (»Kłosy« 2878, nr. 654, str. 23). Dlaczego zaś »Życie Cycerona« nie ujrzało światła dziennego, nie wyszło z pod prasy tego nie wiemy.

Bogusław-Krzysztof Kraszewski.

Romanów. („Kraj“)

Kronika powszechna.

— Na posiedzeniu Tow. historycznego we Lwowie, Dr Ludwik Finkel odczytał „Nieznana rezolucja o Polsce z r. 1574“.

— Nagrody z zapisu Barczewskiego. Akademja Umiejętności w Krakowie, w d. 11. b. m., za najlepsze dzieło w dziedzinie malarstwa przyznała nagrodę Janowi Matejce, jako twórcy „Dziewicy Orleańskiej“, — za najlepsze zaś w dziedzinie historji polskiej po „Sejmie czteroletnim“ ks. Kalinki, któremu, z powodu zgonu autora, nie można było przyznać nagrody, uznała pracę Romualda Hubego: „Prawo polskie w wieku XIV.“ — i do uznania tego dołączyła nagrodę pieniężną.

— Na posiedzeniu komisji historycznej Akademji umiejętności, Smolka złożył przywiezione z Rzymu materjały historyczne i zdawał sprawę z całej wyprawy, podjętej do archiwów rzymskich pod jego kierunkiem w ciągu ubiegłej zimy; w wyprawie tej wzięło udział 5 ukończonych słuchaczów uniwersytetu tutejszego: dr. Kallenbach, dr. Korzeniowski, doktorandzi Krzyżanowski, Windakiewicz i p. Rubczyński, do których przyłączył się dobrowolnie, przybyły z Warszawy, także wychowaniec krakowskiego uniwersytetu, dr. Grossé; zwrócono najpilniejszą uwagę na dział wyłącznie polski, t. j. nuncjaturę polską, który się poczyna z czwartą ćwiercią XVI. wieku a szczególniej obfitym jest z czasów Stefana Batorego; odpisywano lub streszczano w taki sposób, by to było gotowym materjałem do wydania w przyszłości, depesze i relacje nuncjuszów Caligari i Bolognetto (z lat 1578—84; relacje nuncjusza Laureo 1574—78 właśnie wydają się teraz w Warszawie), jakoteż korespondencję z Rzymu do nich idącą i tę, którą prowadzili z różnemi osobami w Polsce; depesze i relacje Bolognetto, szczególniej są obfite i cenne. Obok tego zajęto się wyszukaniem i zgromadzeniem całej korespondencji Possewina, który najtajniejsze sprawy owoczesnej polityki rzymskiej wobec Polski i zamiary Batorego znał najlepiej, jako powiernik króla; w archiwum watykańskiem, odpisano nadto niektóre rzeczy dawniejsze, jakoto akta procesu biskupa krakowskiego, Muskaty, instrukcje z czasów Syxtusa IV, rzeczy polskie z działu „Litterae principum“; wobec mnóstwa materjałów w archiwum watykańskiem, cały nacisk położyła wyprawa na jego zbadanie; tylko w porze, w której archiwum to było niedostępne, badano inne archiwa oraz bibljoteki publiczne i prywatne; szczególniej zapoznano się dokładniej z nieznanem prawie nikomu dotąd i mało uporządkowanem archiwum konsystorskiem, tj. archiwum kolegjum kardynałów w Lateranie, gdzie się znajdują akta, odnoszące się do Polski, poczynając od r. 1409 a szczególniej ciekawe procesy informacyjne przy obsadzaniu biskupstw polskich i decyzje w tym względzie papieżów; prócz opisu aktów tego archiwum, wypisano stąd rzeczy polskie z wieku XV, XVI. i z początku XVII. — z bibljoteki watykańskiej porobiono wypisy rzeczy polskich z katalogów, rękopisów, znaleziono tamże dziełko nieznane Wapowskiego „De bello Moscovitico“ i późniejszy opis Polski z XVI. wieku, nieznanego autora, a także „Turcica“ z XVI w.; w archiwum państwowem przejrzano i porobiono wypisy z ksiąg, annałów z XV. i początku XVI. wieku, toż samo z innych ksiąg skarbu papiezkiego; Bibl. Casanatensis dostarczyła nadto ciekawych listów kardynała Gaetani z legacji do Polski 1590 roku; następnie zebrano materjał źródłowy z trzech jeszcze bibljotek: Bibl. Wiktora Emanuela (powstałej z dawniejszych klasztornych), gdzie znaleziono nieznany dotąd tekst „Żywotu Świętego Wojciecha“ i skolacjonowano ze znanemi już oraz relację Giovaninego o Polsce z 1565 roku; bibl. ks. Chigi a w niej listy Bolognetta do kardynała Guastavillani 1581 i 1582 roku, oraz listy kardynała Caraffy 1558 roku (o polskich sprawach) wreszcie, ważną relację Spanochiego z 1586 roku; Bibl. Barberini z listami Lipomana z 1555—1556 roku i innymi listami z końca XVI. wieku; wszystkie te odpisy lub wypisy, znajdują się w 14-tu tekach, które profesor Smolka złożył komisji, a do których przybędą jeszcze inne, skoro wyprawa tegoroczna będzie zakończoną.

— Konkurs na napisanie dzieła z zakresu nauk przyrodniczych stosowanych — z zapisu ś. p. ks. Adama Jakubowskiego, ogłosiła świeżo krakowska Akademja umiejętności.

Dzieło to ma mieć na celu wpływ na praktyczne oświecenie ludu i być napisanem na następujący temat: Opisać na podstawie najnowszej literatury i własnego doświadczenia sposoby suszenia owoców i warzyw, tak w przemyśle fabrycznym jak i domowym. Autor powinien tu podać nietylko dokładne opisy i rysunki potrzebnych przyrządów, ale także koszta ich sprawienia, lub też wyrobienia w domu. Winien on dalej wskazać, jakie gatunki owoców i jakie z naszych warzyw do tego się nadają i powinien podać koszta połączone z produkcją i wykazać, w jakich warunkach może się ona opłacać. Wogóle praca konkursowa powinna świadczyć, że autor nie jest kompilatorem, lecz rzeczą się fachowo zajmował, zna warunki i potrzeby krajowe. Przytem praca ta ma tak być napisaną, aby także przez lud wiejski z korzyścią czytaną być mogła. Nagroda naznaczona za najlepsze dzieło wynosi zł. 600, lecz w danym razie rozłożoną ona być może i na dwie nagrody, w kwotach po zł. 400 i 200. Termin do nadsyłania prac konkursowych pod adresem krakowskiej Akademji umiejętności, naznaczony jest do 31. grudnia 1888. r.

— Pierwszy zjazd prawników i ekonomistów polskich odbędzie się podczas wystawy krajowej w Krakowie, w dd. 9. i 10. września r. b. Odezwa wydana przez komitet z 12 prawników krakowskich, pod prezydencją prof. uniw. Jagiell. Zolla, określa cel zjazdu następującemi słowy:

„Celem zjazdu będzie: poruszyć te pytania z dziedziny umiejętności prawnych i politycznych, które wymagają zbiorowego omówienia, aby podnieść poziom umiejętnego wykształcenia, usunąć trudności praktyczne, obmyślić środki zaradcze w granicach możności, wreszcie ułatwić zawiązanie osobistych znajomości przez zbliżenie się i swobodną wymianę myśli“.

— W Bibljotece filozoficznej, wychodzącej z pomocy kasy Mianowskiego, pod nadzorem prof. Struvego, wyszedł „Traktat o wrażeniach zmysłowych“ Condillaca, w przekładzie Antoniego Langego.

— Sprawy robotnicze. Wkrótce we wszystkich miastach gubernialnych w Rosji będą utworzone wyższe komisje specjalne, do których fabrykanci i robotnicy będą mogli apelować od postanowień inspektorów fabrycznych. Komisjom tym przewodniczyć mają z urzędu gubernatorowie, w skład wejdą przedstawiciele urzędu prokuratorskiego, władz sanitarnych, ministerjum dóbr państwa, zarządów miejskich i ziemstw. Od wyroków komisji interesowane osoby będą mogły odwoływać się do ministerjum skarbu, które w porozumieniu z ministerjum spraw wewnętrznych ostatecznie spory rozstrzygnie. Komisje obok rozpatrywania skarg na postępowanie inspektorów fabrycznych, mają prawo występować z inicjatywą we wszelkich wypadkach, gdzie uczestnictwo rządowe może być pożyteczne, np. w określaniu stosunków między fabrykantami i robotnikami.

— Papież o Francji. Podczas przyjmowania pielgrzymów francuskich, ojciec św. zrobił kilka bardzo dowcipnych uwag o Francji, wyrażając się o niej jak następuje: „W rzeczywistości Francja jest zagadką, kontrastem, dwuznacznikiem: pałac prezydentury nosi nazwę raju, w który Francja nie wierzy (pałac Elizejski); pałac senatu ma nazwę miasta, którego Francja nie posiada (Luxembourg); pałac przedstawicieli rzeczypospolitej zapożycza imienia swego od dynastji, której Francja nie chce (Bourbon); jednem słowem prawdziwy to chaos“.

— W Zurychu otwartą została 3. b. m. dawno projektowana kynologiczna wystawa obesłana ze Szwajcarji, Niemiec, Anglji; w liczbie 625 psów, znajduje się wiele wspaniałych zwierząt.

— Jako trzeci tom XII. serji publikacji powszechnego związku literackiego niemieckiego, wyszło dzieło dra Ludwika Büchnera „Thatsachen und Theorien aus dem naturwissenschaftlichen Leben der Gegenwart.“

— W Syrji dokonywają się ciekawe prace około wykopywania prastarych zabytków fenickiej i staregreckiej sztuki. Odnaleziono ostatnio 18 sarkofagów. Szczególną uwagę zwraca białe marmurowe mauzoleum, ozdobione ośmnastoma pysznemi płaskorzeźbami, wyobrażającemi płaczące kobiety.

— W Akropolis ateńskiem, po długich poszukiwaniach archeologicznych, wykopano bronzową statuę Minerwy—Promachos.

— Herbert Spencer, mieszkający od roku w Brighton, zajęty jest pisaniem autobiografji. Stan zdrowia znakomitego myśliciela niebezpieczny.

— Pigmejczycy. Na posiedzeniu akademii paryskiej, odbytem dnia 13. zm., p. de Quatrefages zdawał sprawę ze swych poszukiwań co do rasy ludzkiej, którą starożytni pisarze nazywali pigmejczykami. Według legendy podanej przez Homera, pigmejczycy zamieszkiwali na krańcach świata i staczali zwycięskie walki z żurawiami. Herodot umieszcza ich w trzęsawiskach, otaczających źródła Nilu, Arystoteles, Ktezjasz, Pliniusz, Pomponiusz Mela, piszą również o pigmejczykach i przedstawiają ich jako rasę ludzi bardzo małego wzrostu, zamieszkałych na południu Abisynii w nieznanych krajach środkowej Afryki. Przez długi czas zaliczano te legendy do bajek, obecnie nauka przychodzi do przekonania, że owe karłowate plemię istniało i istnieje dotychczas. Podróżnicy tegocześni widzieli ich i opisywali, nie domyślając się, że mają przed sobą starożytnych pigmejczyków. Tylko wzrost ich zwiększył się z biegiem czasu, gdy wzrost patagończyków, którzy byli niegdyś olbrzymami, małał. Obserwacje naukowe sprostowały przesadę pierwszych podań, pigmejczycy mają dziś 130 do 150 centm. (52½ do 54 cali) wzrostu. P. de Quatrefages poznaje ich i uznaje w plemieniu afrykańskiem akkasów i w negretosach, dziś rozrzuconych po wyspach całego świata. W niektórych okolicach górzystych Beludżystann znajdują się także negitosi, mniej lub więcej przez mieszanie się z innymi szczepami zwyrodnieni. Typ ich czysty dochował się w Nowej Gwinei, wszędzie zresztą jak na wyspie Cejlon, na wyspach Filipińskich, zatracił znacznie swoje cechy pierwotne, zbliżając się do typu plemion, w pośród których zamieszkują.

Najmniejsza gazeta na świecie wychodzi w nadbrzeżnem mieście mexykańskiem Guadalajara, pod tytułem *El Telegrama*. Miniaturowy ten dzienniczek ma cztery stonice, kolumny druku mają wysokości 115 milimetrów, a szerokości 35. *El Telegrama* posiada własny telefon i podaje najważniejsze wiadomości z całego świata, oraz ogłoszenia. Istnieje już rok czwarty, a ma za motto: *Poco paja y mucho grano* (mało słomy, a dużo ziarna). Cena wynosi 75 centów kwartalnie — słono!

* * *

Zmarli

— K. Friedlander, prof. w Berlinie, wydawca czasopisma „Fortschritte der Medicin“, były asystent Virchow'a, znany badacz na polu bakterjologji.

— M. Vulpian, prof. patologji doświadczalnej w Paryżu, w 61. r. życia, jeden z głównych reformatorów nowszej medycyny francuzkiej (wraz z Charcot'em, twórcą słynnej nurologicznej szkoły w Salpêtrière). Autor napisał wiele dzieł klasycznych w naukach lekarskich.



Uwagi o robotach ręcznych.

I.

Pracowitą powinna być każda kobieta, ażeby zawsze i wszędzie mogła sobie dać radę, a pracowitszą jeszcze więcej powinna być Polka mając na względzie, że pracowitością i zapobiegliwością dużo dobrego zrobić można i przyczynić się do rozwoju i dobrobytu w Ojczyznie.

Obok wykształcenia naukowego tak wysoko obecnie prowadzonego u kobiet, roboty ręczne wchodzące w zakres gospodarstwa domowego, przemysłu, lub zbytku wielkie mają znaczenie, i dla tego wzięłam je sobie za treść obecnej pogawędki.

I tak, czy się jest panią, czy wieśniaczką, bogatą czy ubogą, czy się mieszka w mieście, czy na wsi, zawsze i wszędzie roboty ręczne powinny stać na pierwszym planie po naukach umysłowych. Zdaje mi się, że bardzo mało jest kobiet takich, któreby do nich zdolności nie miały — i dla tego bardzo łatwo dadzą się każdej z nas przyswoić.

Kobieta, jako gospodyni domu, czy jako matka chcąc być przykładem, powinna umieć jak najwięcej i najrozmaitsze roboty w zakres jej działania wchodzące. — Powinna się obznajamiać z wszelkiemi robotami, które nie tylko dadzą się zużytkować dla siebie i domu, ale także i takie, któreby się dały spieniężać, — a postępując chociażby wolno, ale wytrwale i z zamiłowaniem krok za krokiem potrafimy się przyczynić choć w części do dobrobytu kraju naszego, którego brak teraz tak bardzo czuć musimy.

Każda gospodyni powinna być przykładem dla domowników a każda matka dla córek, bo pracowita kobieta w każdym stanie jest skarbem nieocenionym. Matka zaprawiając zawczasu swą córkę do robót ręcznych, daje jej już znaczne wyposażenie na przyszłość, jakby procent od znacznego kapitału — procent ten rośnie wraz z powiększeniem się kółka rodzinnego, albowiem wszystko co gospodyni uszyje, naprawi, dopilnuje, przynosi gotowy pieniądz.

Jeżeli rodzina nie jest liczną, to pani domu zająć się może szyciem bielizny, sukienek dla dzieci, a nawet dla siebie, wreszcie wszelką naprawką. Przez wczesną naprawkę lub przerobienie wygląda każda suknia czysto, porządnie i świeżo — gdy przeciwnie, jeśli rzecz uszkodzona nie jest natychmiast naprawioną, pruje się i niszczy więcej, a naprawka wymaga wtedy dłuższego czasu — miejsca zaś zbyt uszkodzone są mimo naprawy widoczne.

Plama nabita kurzem lub zaprana bez poprzedniego wywabienia, pozostaje na zawsze.

Utrzymanie w porządku bielizny i sukień jest ważnem zadaniem gospodarstwa domowego i stanowi znaczną rubrykę w wydatkach domowych — a praktyczna znajomość szycia bielizny jak i roboty sukień może być pomocą w zaprowadzeniu prawdziwej oszczędności w domu. Dla tego też znajomość kroju tak bielizny jak i sukień jest dla każdej kobiety niezbędną.

Takie praktyczne umiejętności nie uchylają kobiety od możności nabycia wprawy robót ręcznych ozdobnych a nawet zbytkowych.

Bo jeśli los postawi ją w położeniu, że nie będzie potrzebować zużytkowywać umiejętności szycia ani dla siebie ani dla swoich, to jakże przyjemnie czas sobie zapełnić może, zajmując się robotami ozdobnemi, które wszystkie sprowadzamy z zagranicy — tak jakby nasze polskie kobiety mniej miały zręczności albo zdolności — przypomnijmy sobie, ile to pięknych robót wychodziło z domów staropolskich, co za tkaniny, hafty jedwabiami, srebrem, złotem i drogiemi kamieniami, które jeszcze teraz widzieć możemy po skarbcach kościelnych i po muzeach.

Czemużbyśmy teraz nie potrafiły odpowiednio do wymagań czasu i postępu robić piękne a przytem pożyteczne roboty. O ileż to łatwiej przy teraźniejszej nauce rysunków w szkołach, zastosowanej do robót ręcznych, każdą robotę wykończyć można, jeśli się ma podstawę do zmniejszenia lub zwiększenia wzorów potrzebnych do jakiejkolwiek roboty.

W wykonywaniu ogólnie wszystkich robót dokładność jest konieczną, tej też doskonałości na-

bywać potrzeba całemi siłami, dla tego też starajmy się w młodszem pokoleniu wyrabiać dokładność i systematyczność w robotach od najmłodszych lat, a o ileż ułatwimy każdą robotę, jeżeli osoba wykonująca ją będzie od dzieciństwa wprawioną do starannego wykończenia nawet i najłatwiejszych robótek.

Zwykle nauka robót u dziewczynki, zaczyna się od pończochy — jest to robota łatwa i dla tego zapewne weszła w zwyczaj jako pierwsza dla niewyrobionych dziecinnych paluszków. Nie jest to robota któraby mogła bardzo zająć dziecko, jednak przez swą łatwość zapewne na bardzo jeszcze długie lata pozostanie pierwszym krokiem w nauce robót ręcznych. Dzieckiem nauczywszy się robić pończochy, już potem bardzo mało kto zajmuje się tą robotą, zostawiając ją sobie na późniejsze lata, gdy już wzrok nie dopisuje. Robota pończoch rękami jest teraz mniej używaną z powodu wydoskonalenia maszyn, które z nadzwyczajną szybkością a stosunkowo nie drogo wykończają pończochy doprowadzając do bardzo cieniutkich wyrobów. Dla tego pończocha ręczna nie opłaca się i osoby potrzebujące pracować na swoje utrzymanie, coś ładniejszego przez ten czas zrobić mogą. Pozostają nam koronki i wstawki drutową robotą; są one łatwe i dla kobiet zamiłowanych do ciągłej robótki w rękach są dlatego wygodne, że się dają z łatwością odkładać na bok, jeżeli robotę przerwać potrzeba, przy gospodarowaniu lub jakiej dyspozycji wydawanej sługom.

Wszystkie spodniczki i kaftaniczki drutową robotą są teraz daleko mniej używane niż dawniej także z tego powodu, że maszynami o wiele prędzej taka robota daje się wykończyć. Roboty szydełkowe albo haczkowane są bardzo łatwe i bardzo prędko wprawy w nich nabyć można, a taka jest rozmaitość wzorów na różne rodzaje robót i przeróżne z nich użytki, że coraz więcej się wydoskonalają nie tylko wzory ale i stwarzają coraz nowe roboty szydełkowe.

Trudno mi wyliczać nazwy tych wszystkich robótek dających się wykonać szydełkiem, bo taka jest ich mnogość, że byłoby czem w paru numerach »Ruchu« zapełnić kilka kartek; zresztą wzięłam sobie za zadanie mówić tylko w ogólności o robotach i pracy ręcznej wykazując przyjemność i pożytek jaki kobieta mieć może oddając się z zamiłowaniem robotom ręcznym.

W późniejszych numerach będę miała sposobność dać przykład i prawdziwe dowody jak praca jest potrzebną i jak czasem los niespodziewanie rzuci kobietę bez żadnych funduszów i środków utrzymania życia i bez żadnego fachowego wykształcenia. A ta nie tylko o sobie ale jeszcze i o bliskich swoich myśleć musi; pomimo więc całej trudności w wyrobieniu sobie bytu nie wolno nam opuszczać rąk tylko trzeba iść dalej wytrwale a zawsze z nadzieją, że przecież złe minie i potrafimy sobie wywalczyć byt niezależny.

Justyna Gostyńska.

Jaki był koniec procesu Bureckich.

Z oryginału węgierskiego przełożył *H. K.*

Był to proces prawdziwie monstrualny. Wchodziło weń dwieście dwudziestu ośmiu powodów i jeden oskarzony.

Dwieściedwudziestu ośmiu skarżących walczyło zawzięcie z jednym człowiekiem i nie mogło go pokonać, oskarzony bowiem był to pan wielki i potężny: hr. Korotnoky, stroną skarżącą zaś była sobie prosta szlachta chodaczkowa, wywodząca pochodzenie swe w linji prostej lub też pobocznej z rodu Bureckich de Burkosfalwa.

Podstawą procesu była w gruncie rzeczy sumka dość pokaźna: 200,000 zł. wraz z przynależytościami, zważywszy jednak, że kwota ta miała być rozdzieloną na dwieściedwadzieściaośm części, pretensja każdego członka rodziny była oczywiście tylko bagatelką, zwłaszcza tam, gdzie taka dwóchsetnadwudziestaósma cząstka przypadała jeszcze na kilku spadkobierców.

Proces Bureckich wlókł się już bardzo długo, rodzina wybierała zawsze ze swego grona inspektora, który miał ściągać koszta od pojedyńczych członków i wypłacać honorarja adwokatom.

W ciągu tego procosu zmarła już spora ilość adwokatów zastępujących rodzinę Bureckich, albowiem wybierano zawsze jednego z najstarszych adwokatów, cieszącego się wielkiem znaczeniem i rozległą praktyką. Gdy zaś adwokat posiędzie już liczną klientelę i dojdzie do wielkiego znaczenia, wtedy też wnet pójdzie na spoczynek tam, gdzie wieczna panuje sprawiedliwość.

Proces ciągnął się już około stu lat, tak, iż w końcu cały ten proces wraz z rodziną Bureckich popadł w śmieszność. Dość było wspomnieć o procesie Bureckich by obudzić ogólną wesołość. Tymczasem liczba skarżących wzrastała coraz bardziej a koszta płacono coraz niechętniej.

Przy wielkiej płodności rodu Bureckich można przypuścić, że po kilku generacjach — tak długo w każdym razie proces jeszcze potrwa — liczba skarżących wzrośnie do tysiąca, a wtedy, wrazie wygrania procesu, każdy członek rodziny otrzyma co najwyżej — dziesięć guldenów!

Dajcież już spokój — poczciwi ludziska!

Otóż gdy sprawa doszła już do stanu tak deprymującego, zjawia się nagle magnat, równie potężny jak hr. Korotnoky, a przytem namiętny procesowicz, baron Balacsy. Figura mała, krępa, o nieproporcjonalnie wielkiej głowie, gęstych, krzaczystych brwiach i włosach uczesanych w kształcie dwóch rogów którymi zdawał się odgrażać każdemu.

Już też nie jednego wziął na swe rogi. Procesa łubiał pasjami, ogromny jego majątek pozwalał mu na ten zbytek. Było to dla niego jakby grą w taroka, przyjemnie rozdrażniającą rozrywką; grał sobie w taroka procesami.

Razu jednego licząc z adwokatem wszystkie procesa swoje, naliczył ich dokładnie dziewięćdziesiąt i dziewięć.

— Ej, do djaska, trzeba koniecznie rozpocząć jeszcze jeden, żeby była równa setka.

Szukał więc, spekulował, nigdzie nie mógł odkryć ani motywu, ani przeciwnika. Nie mógł sobie przypomnieć żadnej pretensji, żadnej obrazy czci, żadnej sprawy o naruszenie granicy, słowem wszystko już było wyczerpane. Ach, gdyby ktoś tak zechciał zaorać mu chociażby pasemko pola, lub dopuścić się jakiegokolwiek gwałtu wobec niego!

Lecz cóż, zdaje się, że cały świat karmi się teraz kwaśnem mlekiem, wszyscy są dziś tak łagodni i tchórzliwi!

— Jednakże ja muszę mieć ten setny proces — jeżeli mi się żaden nie nawinie, to sobie kupię taki proces, żeby cały Sąd królewski osłupiał z podziwienia!

Zacny baron rozpoczął więc poszukiwania, czy niema kto procesu na sprzedaż. Ktoś zwrócił jego uwagę na proces Bureckich. Proces Bureckich! To doskonale! Kupuję go natychmiast. To mi proces co się zowie. Trwa już ze sto lat; nie mam czegoś podobnego dotychczas w moim zbiorze. To rzadkość! Dawno już pragnąłem go mieć i kupię, jeżeli jest tylko na sprzedaż.

I zabrał się natychmiast do dzieła, z gorliwością zbieracza osobliwości. Niezwłocznie napisał do inspektora rodziny Burekich, iż ma zamiar kupić ich proces jeżeli tylko jest do sprzedania. Inspektor, zacny Daniel de Burecky (sędziwy starzec z dużą siwą brodą) odpisał pięknem pismem okrągłem z zakrętasami, że proces ten jest za przystępną cenę do nabycia.

Baron jeszcze tegoż dnia zatelegrafował: »Ile kosztuje?« :

Jeszcze wieczorem tego samego dnia nadeszła odpowiedź następującej treści: »Jeden dukat za każdy funt aktów«. — Baron się zgodził i w kilka tygodni objął proces. — Odważono akta; ważyły dokładnie 8 cetnarów i 22 funtów. Inspektor Burecki chciał dołożyć do wagi także 228 cesyj, które otrzymał od rodziny, utrzymując, że te cesje także należą do procesu i że waga tychże musi również być zapłaconą. Na to baron wpadł w złość i kazał się o tych 7 funtów — tyle bowiem 228 cesyj ważyło — osobno skarzyć. W rzeczywistości zaś baron był bardzo rad z tego, że zamiast jednego dostał dwa procesa za te same pieniądze, a tem samem zrobił korzystny interes.

Jak się później pokazało, udają się czasem największe głupstwa. Baron tak kalkulował: Starzy adwokaci są do niczego, można ich tylko użyć do krótkich procesów, do dłuższych natomiast potrzeba ludzi młodych. Sławni adwokaci również nie nadają się, mają oni już swoje w świecie znaczenie i dlatego żaden z nich nieodważyłby się na popełnienie jakiegoś głupstwa, gdy tymczasem w procesie głupstwo może nie raz oddać znakomite usługi.

Wyszukał więc sobie adwokata młodego i jeszcze nieznanego Dra Michała Garaba i w jego ręce oddał proces Bureckich.

Dr. Michał Garaba skupił swe siły, zatopił się w studjowaniu aktów, zasięgał informacyj, nie szczędził nóg, nadskakiwał żonom odnośnych sędziów i pewnego pięknego poranku — wygrał proces, stuletni sławny proces Bureckich.

— To mi zuch! — wołał baron nieposiadając się z radości. — Musimy z niego zrobić wielkiego człowieka!

Przedewszystkiem zas siadł do powozu i kazał się zawieść do wioski zamieszkałej przez biednych Bureckich, chciał bowiem być świadkiem naocznym, jak ci panowie na taką nowinę dostaną napadów apoplektycznych. Nie mógł sobie odmówić tej przyjemności.

Po powrocie urządził niezwłocznie w swym pałacu wielki bankiet na cześć genjalnego adwokata. Zaprosił świetne towarzystwo: magnaterję, naczelników sądowych, bogatych fabrykantów; cała uroczystość poświęcona była procesowi Bureckich i sławie dra Michała Garaba.

Przed ucztą baron ostentacyjnie uścisnął go i ucałował, później zaś musiał Garaba z trybuny umyślnie na ten cel w salonie wzniesionej przedstawić w formie krótkiego resumé cały przebieg procesu od chwili, gdy się zrodził w głowie pierwszego z Bureckich aż do ostatniego stadjum.

Uroczystość udała się znakomicie. Szampan był dobry, potrawy wyśmienite a młody adwokat był przedmiotem ogólnego podziwu i ogólnej zazdrości.

Tem większem było dnia następnego zdziwienie barona, gdy otrzymał od adwokata (któremu jeszcze przed kilku tygodniami wręczył hojne honorarjum za przeprowadzenie procesu) nowy rachunek:

Za stawienie się na wczorajszym bankiecie	40 zł.	— ct.
Za zużycie ubrania salonowego . .	5 »	— »
Za resumé procesu Bureckich .	200 »	— »
Za osobisty wykład	50 »	— »
Za dorożkę tam i napowrót . .	4 »	— »
Lokajowi i stróżowi	3 »	10 »
Razem .	302 zł.	10 ct.

— A to niesłychana impertynencja! zawołał rozwścieklony Nabob. — Urządzam wieczór umyślnie na jego cześć a on sobie każe płacić za zjawienie się i za własną reklamę; ale niech i tak będzie... — To mówiąc wręczył służącemu 302 zł. 10 ct. i posłał adwokatowi.

— Odnieś to Janie i oświadcz panu adwokatowi moje ukłony.

Pan Michał Garaba zbladł ze strachu, gdy otrzymał pieniądze.

— Cóż to u djaska! Baron zapłacił?!

To go zmartwiło. Chciał on właściwie sprawić baronowi przyjemność, z wdzięczności za wczorajszą uroczystość, licząc na to, że baron odpowie dobrodusznie: »Będziemy się procesować mój przyjacielu«.

Taki zwrot rzeczy był nienaturalny, to też w istocie nie skończyło się na tem, bo jeszcze tego samego dnia lokaj pana barona przyniósł adwokatowi nieskończenie długi rachunek, na którym spisane były wszystkie podawane wczoraj potrawy, napoje, cygara i spalone świece milowe — suma sumarum 500 zł.

Garaba bez wahania wręczył służącemu 500 zł.

— Odnieś to Janie i oświadcz panu baronowi moje ukłony.

Ten zwrot przestraszył znów barona.

— Ten adwokat to istny djabeł, coś w tem musi być, że zapłacił.

W istocie nie skończyło się na tem, bo pewnego dnia baron dostaje wezwanie do policji.

Biegnie pełen ciekawości, co też będzie.

— Rozchodzi się o ważną sprawę — powiada szef policji — nie posiadasz pan prawa wyszynku.

— Cóż to, czyżem to szynkarz, czy arendarz? — woła baron do żywego obrażony.

Dyrektor policji przegląda akta i wyciąga spis potraw, przesłany adwokatowi. — A to co? Schwytano pana na gorącym uczynku i musisz pan zapłacić znaczną karę.

— Dobrze mój panie — woła rozjuszony baron — ten djabeł, ten adwokat, to genjusz prawdziwy, mianuję tego draba dyrektorem moich dóbr! Ile wynosi kara? Płacę natychmiast.

Taki był nareszcie koniec sławnego procesu Bureckich, którego resumé przedstawił na owym świetnym bankiecie dyrektor dóbr pan Garaba.

Ja zaś opowiedziałem tylko epilog, bo i ten należy do procesu.

Aforyzmy.

Uśmiechu kobiety i spojrzeń powłóczystych nie bierzcie za znak, że się jej podobacie, ona próbuje jeno swoich wdzięków. Twarz uśmiechnięta jest wdzięczna — uśmiecha się więc bezustannie; spogląda wam często w oczy, bo bada, jakie na was osóbka jej sprawia wrażenie. I gdy wy z tryumfem powiadacie sobie: kocha mnie! — ona w tej samej chwili myśli: ubóstwia mnie! A o kochaniu ciebie ona tak myślała, jak ja o zeszłorocznym śniegu, a ty o ubóstwianiu jej.

A. A.

Kroniczka dla kobiet.

— „Union Society“ uniwersytetu w Cambridge 71 głosami przeciw 65 oświadczyło się za udzieleniem stopni uniwersyteckich kobietom-studentom.

— Przy wydziale medycznym w Petersburgu otwarte zostaną kursa weterynarji dla kobiet.

RUCH LITERACKI I ARTYSTYCZNY

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Ostatnie tygodnie sezonu teatralnego nacechowane były owem zobojętnieniem publiczności, artystów, reżyserji i krytyki, które występuje zazwyczaj po kampanii całorocznej. Koniec Czerwca i początek Lipca, jest to czas, w którym pojawiają się najlichsze nowości, ściągające po za domownikami teatru minimalną ilość widzów; w którym artystom najbardziej plącze się język, tak że na jeden wieczór więcej wypowiedzą dziwolągów gramatycznych i stylistycznych, aniżeli przez całoroczny sezon teatralny, w którym nawet inwentarz teatralny okazuje potrzebę wypoczynku, klękając z nienacka na starych nogach, które podtrzymywały go przez rok cały. Podobny objaw spostrzeżono z niezupełnie szczerym przestrachem na przedstawieniu „Posażnej jedynaczki“, którą artyści nasi grali z najwyborniejszym humorem — dla kolegów swych, zgromadzonych jak zwykle po lewej stronie parteru, dla koleżanek w lożach drugiego piętra, i dla kilku recenzentów; zresztą nikt owego wieczoru nie zajrzał do teatru. Było się mniej więcej en famille; więc kiedy p. Kwiecińska z wdziękiem rzuciwszy się na sofkę, nagle wraz z nią znalazła się za stołem na ziemi, posypał się wśród wesołego śmiechu grad dowcipnych uwag i praktycznych rad. Najdowcipniejszym i najpraktyczniejszym atoli okazał się pan Kwieciński, który od owej chwili próbował wytrzymałość każdego fotelu, za nim na nim coś postawił.

Błogi spokój i niewinną zabawę owego teatralnego kółka familijnego przerwało pierwsze przedstawienie „Złotego Pająka“, cztero-aktowej komedji Pawła Schönthana. Komedja przeznaczona chyba tylko na sezon letni, a ponoś i pisana w kanikułach. Dowcipny i realistyczny zazwyczaj autor urządził szereg karambolów w stylu Hennegnina, zaniedbał prawie kompletnie charakteryzowania, wymaga od widza niesłychanej łatwowierności — ale za to bawi go, przewyższając mistrza Harisona, gwiazdy Sidolego.

Stary Hänfling, nauczyciel rysunków, jest ojcem nadobnej Franciszki i nadobniejszej jeszcze Joasi. Biedak! W tych dwóch córkach cały jego majątek. Ale nie jest to kapitał martwy: zaczyna się procentować, lokując się wcale korzystnie i to sam, bez zachodów właściciela. Bo oto najsamprzód w pannie Franciszce zakochał się młody doktor Kolmar, odnajmujący pokój od Hänflingów i zanimeśmy się zorjentowali w sytucji, szarti klarti, gumelarti, jak opiewa hasło muzy farsowej, doktor Kolmar oświadczył się, zaręczył się, a stary Hänfling udzielił im swego błogosławieństwa.

Śmiały to i pewny swej rzeczy autor, który już w połowie pierwszego aktu odstawia na bok jedną parę jako gotową. No ba po pierwsze jest jeszcze druga córka, która niezawodnie sprawi się dowcipnie, a powtóre, cały złoty pająk, który wylazł aż na tytuł i rozsiadł się grubemi literami na afiszu teatralnym.

Okazuje się, tuż po zaręczynach Franciszki z doktorem Kolmarem, że stary Hänfling posiada w córkach nie tylko pewny majątek, ale skarb niepospolity i że Franciszka jest prostaczką w obec Joasi, bo jakaż to licha figura, ów narzeczony Nr. 1, doktor Kolmar, w porównaniu z Henrykiem Klingenbergiem, synem bogatego fabrykanta, z którym Joasia poznała się w domu swej ciotki i który przysiągł, że się w czwartym akcie ożeni z nią, mimo wszelkich przeszkód, jakie zajdą w drugim i trzecim akcie. Ale jak! Jest na to stara recepta w oficynie komedji niemieckiej. Joasia oferuje się staremu Klingenbergowi jako rysowniczka do fabryki, a ponieważ stary Klingenberg lubi piękne rysowniczki zostaje przyjętą, i rozpoczyna w drugim akcie wielką operację strategiczną celem ujęcia sobie ojca swego oblubieńca.

Stary Klingenberg, to najweselsza w świecie figura, bankier zajęty aż do manji życiem i zwyczajami złodziejów wielkomiejskich, których śledzi nocami w przebraniu. A propos starego Klingenberga: on to zgubił broszkę złotą w formie pająka, schowaną w kieszeni paletota, który zamieniono mu w kawiarni. W paltot ten ubrał się nierozważny Hänfling, powodując przez tę akt drugi i trzeci, które, że się ani skleić nie dały na owym złotym pająku, pełne są epizodów, ściągniętych gwałtem, ale gwałtem też zmuszających do śmiechu. Do Hänflingów przychodzi z rana biedna zarobnica z niemowlęciem na ręku, a litościwa Joasia prosi ją, ażeby zostawiła jej dziecko przez trzeci akt, t. j. podczas gdy pójdzie na robotę. Przychodzi młody Klingenberg i oświadcza się o rękę Joasi staremu Hänflingowi, a gdy ten rozczulony przyciska go do piersi, z pokoju sąsiedniego występuje Joasia z niemowlęciem na ręku, padając na kolana przed ojcem, ażeby wraz z Henrykiem odebrać jego błogosławieństwo. Trzeba było widzieć minę, z jaką p. Frenkiel, jako Hänfling spojrzał na to niemowlę, z jaką,

nic nie mówiąc, zapytał: to to niby tak? Za tę minę widz chętnie daruje autorowi, że dla urządzenia tej sytucji sprowadził ową zarobnicę z dzieckiem.

Zabawa jest, niema co mówić. I tak widzimy zrana starego Klingenberga wpadającego do pomieszkania doktora Kolmara i Hanflingów w stroju Lumpaci-Vagabunda: brał on udział w nocnej patrjarchalnej schadzce złodziejów; a zaskoczony przez policję, potargnął za dzwonek do lekarza. Zdawało się, że to Wojciech z Trójki hultajskiej, i że zacznie zrzucać z siebie sto kamizelek; tymczasem, związawszy tylko w elegancką kokardę chustkę na szyi, stary Klingenberg opuszcza dom Hanflingów, zachwycony gościnnością Joasi, która zupełnie podbiła jego serce. Przyszedłszy do domu, przypomina sobie, że jest wdowcem, bukiet jest pod ręką, — tu felix Joanna, nube! — a Henryk będzie don Karlosem.

Ale nie, na to żadna przyzwoita komedja pozwolić nie może, tak się dzieje tylko w tragedjach. Złoty pająk, pająk czy nie pająk, trochę zbytku w tytule, parę zbytków w treści, zawsze to uczciwa komedja. Więc z rzędu przychodzi akt czwarty, staremu Klingenbergowi dostaje się figa, a Henrykowi Joasia. Wskutek czego? Naiwny widzu, wskutek czwartego aktu.

Widzę, że czytelnicy już się niecierpliwią, bo oto widocznie już koniec sztuki, a złoty pająk ani się pokazuje. Przepraszam, nie moja w tem wina. I ja tak czekałem i niecierpliwiłem się aż do końca sztuki. Jest znana komedyjka niemiecka p. t. „List und Phlegma“, z której cytuję wyborne słowa: „es ist nicht an dem“.

Pani Kwiecińska była równie nadobną Joasią, jak p. Wisłobodzka niezgrabną Franciszką. P. Wojdałowicza jako starego Klingenberga niedałbym za p. Frenkla jako Hänfllinga — ale i odwrotnie nie. Że p. Kwieciński jest miłym i wesołym synalkiem bogatych rodziców, to stara rzecz: grzechy autora w grze artystów tych wyglądały prawie na zalety.

Po „Złotym Pająku“ nie dano już żadnej nowości. Powtórzono „Francillon“ dla publiczności prowincjonalnej, która przybyła do Lwowa na przyjęcie arcyksięcia Rudolfa; a 7. Lipca zakończono szereg przedstawień tegorocznych „Piękną żonką“ Bałuckiego. Towarzystwo wyjechało do Krynicy, zkąd nie wróci przed końcem Sierpnia.

—*f.*—

Z WYSTAWY
zjednoczonych towarzystw sztuk pięknych
we Lwowie.

V.

Od ostatniego sprawozdania naszego, zmieniła się fizjonomja wszystkich prawie salonów wystawy lwowskiej. Najkorzystniej oświetlone miejsce salonu głównego zajął niewielkich rozmiarów obraz mistrza Matejki „Bł. Iwon Odrowąż, biskup krakowski, poświęca kamień węgielny pod budowę kościoła w Iwoniczu 1326 r.“ Płótno to, objęte skromnemi wyzłacanemi ramami, przeznaczone jest dla ołtarza budować się mającej kaplicy w Iwoniczu. Za misternie oddanym kamieniem węgielnym widzimy postać biskupa: starca w pełnym ornacie, o obliczu natchnionem, wyciągającego ręce z gestem błogosławiącym; na tylnym planie, za balustradą kamienną, budowniczy z cyrklem w ręku, na samym przedzie klęczy młodzieniec ministrujący; za biskupem duchowni. Ponad opisaną grupą, wznosi się w obłoku aniołek, wskazujący na niebiosa, których błękit przedziera się drobnym kręgiem w górnym rogu płótna.

Zalety wykonania są zwykłe: w tych drobnych postaciach kompozycji nie wznoszącej się ani pomysłem ani ugrupowaniem figur ponad lepsze kompozycje ołtarzowe, tyle jest życia uchwytnego, tryskającego, w fizjonomji każdej tyle charakterystyki indywidualnej; bogactwo szat tak plastyczne, szczegóły architektoniczne z tak uderzającym wykonane realizmem, że od pierwszego wejrzenia poznasz mistrza w tem płótnie.

Zdawałoby się, że posługując się realizmem wykonania w kompozycji idealnej, mistrz rozwiązuje szczytne zadanie rozwijającej się sztuki nowożytnej: że widz nowożytny, szukający wszędzie prawdy życiowej, a jednak po sztuce wymagającej idealnego pobudzenia, odebierze harmonijne wrażenie, spoglądając na ten utwór artysty, posiadający tyle zalet technicznych, a i pomysłem nie padający niżej poziomu produkcji idealnej. Jednak tak nie jest. Można z zadowoleniem estetycznem wpatrywać się w oblicze biskupa, jaśniejące blaskiem uroczystego natchnienia, nadziemskiej prawie świętości; można z niemniejszem zadowoleniem spoglądać na klęczącego ministranta, którego twarz pospolita, bezmyślna, obojętna, stanowi prawdziwie estetyczny kontrast z wyniosłą postacią biskupa; ale zanim poszczególne te dodatnie wrażenia połączą się w całość harmonijną, spotykają się one z refleksją, że kompozycja ta, zwłaszcza o ile się koncentruje w głównej postaci, skoncypowaną jest romantycznie, niezgodnie z doświadczeniami i ze zdrowym zmysłem prawdy. Poza i wyraz biskupa zaiste godne są czynności donioślejszej, a w każdym razie podnioślejszej; byłyby one mistrzowskiem oddaniem świętego unie-

sienia apostolskiego i zdobołyby twórcy chwałę, gdyby nakreślił był św. Wojciecha, obalającego bożków pogańskich; atoli u dygnitarza kościelnego, poświęcającego kamień węgielny nowego kościoła, są one nienaturalne, i mimo piękności swej, pozostają w sprzeczności z myślową całością kompozycji. Obrazy podobnej treści, przedstawiające uroczystość o znaczeniu i charakterze zewnętrznym, formalnym, posługiwać się winne środkami odpowiadającemi temu ich charakterowi: mistrzowie zwracają w nich uwagę na ugrupowanie figur, na symetrję linij, i na efektową, harmonijną grę barw, których bogactwa rozwinąć im pozwalają stroje uroczyste.

Skoroby obraz ten realistycznie był pojętym, nie byłoby w nim też miejsca na owego aniołka, którego piękne, międziuchne, misternie modelowane ciałko, z ruchem ku niebosom, stanowi alegorję grubą, prawdziwie dla ludu obliczoną. Przypuśćmy atoli, że sfera myślowa w której pozostaje cała koncepcja i sam temat obrazu, pozwala na taką ozdobę allegoryczną: to zawsze jeszcze ulokowanie owego aniołka będzie niefortunnem; na płótnie fizycznie niema miejsca, ani na obłok, ani na aniołka. Na tak drobnej przestrzeni, w obec figur tych rozmiarów co biskup, niepodobna oddać perspektywy, któraby nas pogodziła z owem „koniecznem złem“ alegorji, wysuwając postać aniołka w sferę wyższą, nadając jej owe ujmujące, duchowe cechy, jakich domaga się charakter alegorji. Obłok jest gruby i aniołek bez uroku; wiszą one groźnie po nad głową budowniczego.

Mimo tych zarzutów, które czyni widz dzisiejszy, spragniony realizmu, skoro jest w nim zrozumienie dla sztuki, stawiać on będzie to płótno Matejki wyżej, aniżeli wszystkie inne malowidła znajdujące się na wystawie lwowskiej, razem wziąwszy. — Cokolwiek wyjdzie z pod pędzla Matejki, nosi na sobie cechy wyższego pochodzenia: te portrety, pejzaże, rodzajowe i historyczne obrazy porozwieszane po ścianach wystawy, wyglądają jakby nędzna chudoba chłopska obok rasowego rumaka, który wspina się, dumny z siły swej i połysku swej sierści.

Wolę kroplę, która spłynęła z pędzla mistrza, a którą mistrz pod wpływem fantazji chwilowej rozsmarował na drzewie, aniżeli morza postaci i kolorów, które wylewa miernota. Matejko wystawił jeszcze szkic olejny: „Śmierć Wapowskiego“. Drobnostka ta kompozycji wygląda na dzieło kilku godzin; wystawienie jej w tym stanie wykończenia za życia mistrza byłoby lekceważeniem publiczności i krytyki, gdyby rzecz ta nie stanowiła ciekawej zabawki malarskiej; oto postacie wszystkie skreślone są zaledwie kilkoma pociągnięciami pędzla; zbliska szkic ten wygląda jak szmata, na której malarz próbował farb. Odstąpiwszy zaś o parę kroków od stalugi, widzimy jak z niedbałych pozornie, krzyżujących się bezładnie sztryszków, kleją się postacie, oświetlone i cień rzucające, jak z chaosu plam wyłania się perspektywa.

Z genialną tą zabawką mistrza dziwnie kontrastuje grupa starannie wykończonych obrazów, zawieszonych w niedalekiem sąsiedztwie: mamy na myśli trzy płótna, wystawione przez kobiety, wykończone z drobiazgowością początkujących. „Portret górala z Rabki“ Rylskiej, „Staruszka“ Boznańskiej, i „Studjum niewiasty“ Dulębianki, oto wiązanka utworów, zrodzona na całkiem innym gruncie, aniżeli szerokie kompozycje mistrza-mistyka, lub pełne jędrnej fantazji zabawki jego pędzla. Tam rozwinięcie, tu ograniczenie dobrowolne: tam polot, tu fotografowanie; ale przyznajmy też: tam romantyzm, tu realizm, tam ostatnie blaski przeszłości, tu świt przyszłej sztuki. Weźmy przedewszystkiem „Górala“ Rylskiej: ile w tej twarzy przebiegłości i idjotyzmu, jaki to chłop pobożny, głupi a jednak chytry; ile życia w tej cerze chropawej, ile życia i prawdy w tym biuście; oto portret w którym skorzystano z zdobyczy malarstwa nowożytnego. Podobna tendencja przebije się w obrazie „Staruszki“ Olgi Boznańskiej), jeno że dalsza część tej postaci traktowaną jest bez zrozumienia, z zaniedbaniem anatomji i udrapowania. „Niewiasta“ Dulębianki, wygląda na kobietę chorą, jest to typ szpitalny: z owinięcia czerwonego podniosła głowę i tułów kobieta młoda, o schorzałej cerze i zapadłych licach: patrzy ona przed siebie z zadumaniem jakby skostniałem, właściwem osobom przykutym do łoża. Postać jej okrywa koszula gruba; a u uszu zawieszają się kulczyki, których kobieta ta nie zdjęła nawet w czasie obłożnej swej choroby. Wyraz twarzy, szczegóły anatomiczne i dekoracyjne, wszystko pojęte jest realistycznie, wszystko wzięte z życia; ręka jeszcze słaba ale pędzel w dobrej umoczony farbie.

A. N.

Salon paryski.

I.

Znakomity krytyk francuski Paweł Mantz, rozpoczynając opis i ocenę dzieł sztuki wystawionych w tegorocznym sezonie w Salonie paryskim, stwierdza fakt pocieszający, że usiłowania nowoczesnej sztuki malarskiej nie pozostają bezowocnemi, że w jednym przynajmniej kierunku zanotować należy znaczny postęp. Postęp ten nie leży ani w zakresie koloratury, ani w kulcie wielkiego stylu i piękności form; w tych punktach malarze nowocześni przeciwnie zdają się tracić grunt pod nogami, coraz bardziej bowiem brzydota i tony krzyczące a jaskrawe rozwielmożniają się w sztuce. Postęp, o którym mowa, przewidywany od dłuższego czasu i w każdym sezonie coraz wyraźniej na jaw występujący, tyczy się dokładnego poznawania i rozróżniania zjawisk półcieniu, znanego pod techniczną nazwą *„le clair obscur“*.

Najsurowsza nawet krytyka malarzom nowoczesnym przyznać musi, że w naturalnem tego słowa znaczeniu —

zdobyli oni światło, że udało im się niejako wyrafinować wzrok swój, że skutkiem wytrwałej pracy nabyli zdolność subtelnego rozróżniania i pochwytywania najdelikatniejszych odcieni, że są teraz w posiadaniu instrumentu fotometrycznego. Równocześnie zaś z wydoskonaleniem oka i narzędzi i dusza artysty staje się czulszą, weselszą i przystępniejszą dla wrażeń dramatu i poezji, których wyrazem najwłaściwszym, a często nawet kierującym motywem jest właśnie światło. Śledząc od lat kilku uważnie wszelkie fazy usiłowań intelektualnych i technicznych, przychodzimy do przekonania, że wydały one niejedno dzieło zajmujące i cenne, że praca na tem polu pomyślnym uwieńczoną była skutkiem. Kilka cenniejszych obrazów, umieszczonych w tak zwanym „Salon d'honneur“ i wykonanych wedle wymogów sztuki nowoczesnej, wykazują dobitnie zasługi i zdobycze tego nowego kierunku, którego hasłem: „le clair obscur“.

Pan M. Duez, członek akademji Villerville i jeden z naczelnych kierowników na drodze wiodącej ku światłu wystawił obraz pod tytułem „Wieczór“. Jest to dzieło poważne i cenne, jakkolwiek nie budzi ogólnego upodobania i nie jest wolnem od błędów.

W głębi morze, uśpione pod białawemi waporami; na niebie księżyc zamglony; na przedzie wśród roślinności której zieleń zmrok łagodzi stoją trzy odważne krowy, nie bojące się kataru; dwie chorobliwe jabłonie, którym wiatr oceanu przeszkodził w dążeniach górnolotnych, dopełniają skromnego motywu. Lecz na tych przedmiotach, tak dalekich od wspaniałości, spoczywa wilgotno-pieszczotliwa zasłona, którą wieczór dobrotliwy spuszcza na znużoną naturę, łaknącą spokoju i cichej melancholji po wielkiej jasności i radosnym hałasie dnia letniego. Całość tchnie wielkim spokojem, morze odznacza się piękną i delikatną szarością, koloratura właściwa, szczegóły pod wpływem zredukowanego światła zacierają się i zlewają w jednostajność rozległą a spokojną. Są to zalety, niprzystępne pendzlowi, ani pojęciu człowieka pospolitego, pozbawionego duszy delikatnej.

Dlaczegoż jednakże to cenne malowidło nie zadowala nas zupełnie? Oto, malarz stylem nie dorósł do wysokości swej myśli. P. Duez słowami prozy próbował skreślić uczucia, których jedynym tłumaczem mogą być wyrazy artystycznie dobrane ze złotej poetów księgi. Nie żądamy od p. Duez. aby krowom swym nadał wspaniałość, właściwą ich prababkom, które podobnie jak Jo splatały swój życiorys z biografją Bogów. Łąki w Villerville z mitologją oddawna już na złej pozostają stopie. Pewną jednakże jest rzeczą, że krowy p. Duez zyskałyby na tem, gdyby innym stylem były malowane. Tożsamo wymienione wyżej dwie jabłonie czynią stanowczo wrażenie biednych, wynędzniałych drzewek. Jedna z nich jest tak źle wychowana, że przecina gałęzią transwersalną kark krowy, która wedle tradycji, zapatrzona gdzieś w dal, nic jej z pewnością złego nie uczyniła. P. Duez kopiując naturę, napotkał na linję ukośną przecinającą najniewłaściwiej w świecie linję horyzontalną. Ten punkt przecięcia, geometrycznie może dokładny, ze stanowiska dekoratywnego jest wprost zbrodniczej natury; należało więc w tym wypadku poprawić naturę, p. Duez zaś bał się widocznie uczynić to, i ta jego trwożliwość zmniejszyła znacznie wartość jego obrazu. „Wieczór“ p. Duez tchnie prawdą i zdrowiem, realne strony wykonane są zręcznie, a nawet znakomicie, ale brak trochę poezji na tem wielkiem płótnie, na którem p. Duez umiejętnością i poczuciem okazał się prawdziwym władcą półcieniu.

Na innym jeszcze obrazie, gdzie również zupełnie brak poezji, światło główną odgrywa rolę. Jest to „Uczta weselna w Yport“ pendzla p. Alberta Fourié. Poucza on nas, że promienie słoneczne nie mają wcale fumów arystokratycznych; zaproszone na uroczystość prostaków, przybywają bez obawy pospolitowania się. Pan Fourié w swoim czasie z ponurą melancholją kreślił tragiczną śmierć pani Bovary; dziś pocieszył się już w swoim smutku i z najlepszym humorem żeni młodzież normandzką. Ludzie w Yport, to nie idealiści, nigdzie też nie widać objawu jakiejś sentymentalności; wszystko wzięte wprost z życia i to z życia prostaków.

Obraz p. Fourié jestto studjum obyczajów wiejskich z dokładnem oddaniem fizjonomji i ruchów prostaczych — często nieokrzesanych — przedewszystkiem zaś jest to studjum światła i cieni. P. Fourié nie naśladuje owych mowców, którzy, dla lepszego przekonania swych słuchaczy posługują się przesadą, lecz kierując się pewnego rodzaju oportunizmem nie nadużywa efektów pomocniczych. Z delikatną dyskrecją wsuwa tu i owdzie łagodny ton niebieski, lekki cień fjoletowy; nie nalega zbytecznie, ale już z tego co mówi okazuje się spostrzegacz subtelny, wierzący w koloraturę cieni, w ów problemat zajmujący, podniesiony po raz pierwszy w r. 1872 w małem arcydziele Nittisa „Droga z Neapolu do Brindisi“.

Obraz p. Fourié pełen jest światła i życia; brak mu co prawda stron idealnych, a ludzie z Yport widocznie sądzą, że upijanie się należy do szyku, lecz poczciwcy ci zaprosili na ucztę swą radosny promień letniego słońca, a malarz ich p. Fourié bardzo zręcznie i rozsądnie potrafił nim manewrować.

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika literacka i artystyczna.

— Potrzeba nowego wydania Mickiewicza, zwłaszcza pism pośmiertnych, znalazła nowe uzasadnienienie w bardzo cennej pracy d-ra Józefa Kallenbacha, w t. VI. „Pamiętnika wydziałów filologicznego i historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności“ wydanym już w bieżącym roku. Młody badacz i krytyk, dokonał rewizji textu I części „Dziadów“, drukowanej po raz pierwszy w wydaniu Wolffa w r. 1860 i na 514 wier-

szy poematu w druku, znalazł 77, wyraźnie siedmdziesiątsiedm wierszy zepsutych. Zdarzają się nawet rymy, jakich niema w rękopiśmie Mickiewicza, często nawet sens zupełnego doznaje wykoślawienia.

P. Kallenbach przywrócił text pierwotny, wskazał poprawki samego poety, podał odmiany, zestawił to, co być powinno, z tem co jest wytworzył niejako vulgatę poematu, którą nowe wydania potrzebują tylko wiernie w siebie w cielić; przyczem, oczywiście, indywidualna praca literacka może nadać wyższą jeszcze wartość temu, czego już obecnie p. Kallenbach z takim pożytkiem dla literatury dokonał.

Przyczyną błędów w dotychczasowych wydaniach, które wszystkie powstały z owego wydania paryzkiego, jest nieład, panujący w rękopiśmie Mickiewiczowskim. Poeta tworzył widocznie w wielkim pospiechu, praca jego fizyczna nad pisaniem nie mogła doścignąć szybkoletniej myśli. Papier w rękopiśmie u góry nierozcinany, ale rozrywany palcem i piórem; słowa często tylko pierwszemi literami naznaczane, urywane; pismo pośpieszne, miejscami nieczytelne.

Oprócz ustalenia textu nie mało przyczyni się do wyjaśnienia poematu zestawienie poprawek, przez poetę uskutecznionych i warjantów, pominiętych również w dotychczasowych wydaniach. Niezmiernie ciekawą jest rzeczą, że obok pierwszej strofy „Strzelca“ (Wśród wzgórzów i jarów) zanotował Mickiewicz schemat metryczny, co dowodzi, jak poeta-romantyk dbał o klasyczną formę, jak znał ducha języka (czego dowodem zresztą wprowadzenie polskiego hexametru w „Wallenrodzie“), którego prozodji przed nim nikt jeszcze naukowo nie badał.

P. Kallenbach zamierza przejść w taki sam sposób jaki zastósował względem I części „Dziadów“, wszystkie poemata Mickiewicza, o ile rękopisma ich się dochowały — a przystęp do nich możebnym się okaże. Pierwszeństwo oczywiście będą miały utwory, wydane dopiero po śmierci wielkiego poety.

— Ruch wydawniczy. Krakowska firma nakładowa Heuman et Żupański wiele nowości przygotowuje, z których część niebawem wyjdzie z druku. W jednem z kosztownych wydawnictw będą ilustrowane przez artystów malarzy Pochwalskiego i Stachiewicza zbiorowe nowele Bałuckiego, Gawalewicza, Sienkiewicza i Krechowieckiego, dalej Bałuckiego „Burmistrz z Pipidówki“, nowa dwutomowa serja nowel i nowe wydanie poezyj, pomiędzy któremi będą wszystkie, nigdzie dotąd nie drukowane utwory pisarza-jubilata. W szeregu dalszych nowości zapowiada księgarnia pp. Heumana i Żupańskiego Stanisława Tarnowskiego „Listy z podróży“, Hajoty „Nowele“ i powieść „Błędne koło“, Krzymuskiego drugi tom prawa karnego, Gawalewicza zbiorek poezyj, Smólskiego nowe wydanie przewodnika po Wiedniu, Straszewskiego „Rys filozofji“. Pisma historyczne Szajnochy, nowe wydanie „Boskiej komedji“ Dantego Stahlbergera, naukę języka niemieckiego, wreszcie z dzieł treści religijnej: kazania księży Goljana i Zacharjasiewicza.

— Wyszły: Trzecia Serja „Poezyj“ Marji Konopnickiej.

— Pan Morgenbesser, znany autor Obrony Sokołowa, napisał nowy poemat satyryczny „Jubileomania“.

— Czesław Pieniążek wydał w Krakowie komedję „Słomiany wdowiec“.

— Nakładem Gubrynowicza wyszedł trzeci tom Listów Zygmunta Krasińskiego, obejmujący korespondencję z Juliuszem Słowackiem, R. Załuskim, E. Jaroszyńskim, Koźmianami i Br. Trentowskim.

— Nakładem tejże firmy wyszły: Dra Antoniego Prohaszki „Konfederacja Spytka z Melsztyna“; opowiadania Aleksandra Wybranowskiego „Ze starych wspomnień“.

— Czasopisma polskie w Ameryce. Liczbę istniejących obecnie czasopism polskich w Ameryce mają powiększyć trzy nowe, z tych dwa: „Wiara“ i „Ojczyzna“, będą wydawane w Chicago, zaś trzecie, „Dzwon“ w Buffalo. Prócz tego, w m. Louis City w stanie Nebraska, będzie wychodziło pismo polsko-amerykańskie. Natomiast czasopismo „Lekarz Domowy“ przestało wychodzić.

W. Engelhorna „Romanbibliothek“ jako 22 tom wyszedł przekład Sienkiewicza.

— Pojawiło się w handlu księgarskim niemieckie tłómaczenie dwóch nowel Bolesława Prusa p. t. „Jas“ und „Stas“.

— Towarzystwo paryzkie. Hr. Vasili, który zyskał sobie w ostatnich czasach rozgłośne imię skreślaniem arystokratycznych Towarzystw stolic europejskich, napisał obecnie szereg zajmujących szkiców p. t. „Towarzystwo paryzkie“.

— Nowe powieści francuskie: Jules Claretie „Candidat“ (liczy już 21 edycję); Paweł Hervieu „L'inconnu“; Arsène Houssaye „Madame Lucrèce“ oraz rodzaj pamiętnika podróży Piotra Lotti „Propos d'exil“; niemniej doznał wziętości romans „Rose des Helles“ Karola Mérouvel.

— Tennyson od londyńskiej firmy Macmillan et Comp. za odę jubileuszową otrzymał 7,000 f. ster.

* * *

Teatr i muzyka.

— Trzy doby naszej sceny. P. Wincenty Rapacki wygłosił w sali krakowskiej rady miejskiej na dochód bibljoteki prawników odczyt p. t. „Trzy doby naszej sceny“. Podług relacji „Now. Ref.“, prelegent przedstawił na tle działalności trzech kolejno po sobie następujących kierowników sceny warszawskiej: Kudlicza, Jasińskiego i Chęcińskiego, stan ówczesny pojęć o sztuce i stopniowy rozwój sceny warszawskiej, jedynej niemal naówczas przedstawicielki polskiej sztuki. Bonawentura Kudlicz, następca Bogusławskiego, to mistrz i nauczyciel dawnej szkoły i reprezentant kierunku klasycznego; z jego szkoły wychodzi pokolenie takich aktorów, jak Piasecki, Halpertowa, Chełchowski, Davison i inni przedstawiciele klasycyzmu w sztuce aktorskiej. Niedługiem było jednak panowanie dawnego kierunku. Na horyzoncie sztuki pojawia się niebawem kierunek nowy, romantyczny, idący z Francji ze Scribem na czele i występuje do walki z pojęciami dawnemi. Walka klasyków z romantykami odgrywa się i na scenie. Dawny kierunek, nie uwzględniający reżyserji, a zasadzający wszystko na sztuce gestu i deklamacji, jako przestarzały ustępuje zwolna z pola. Przybywający teatr rozmaitości, nad którym kierunek obejmuje Jasiński, jest romantykom dzielną pomocą. Jasiński wzywa z prowincji Rychtera, Królikowskiego, Chomińskiego i z iel pomocą wywalcza coraz większe prawo obywatelstwa nowemu kierunkowi. Ze śmiercią Kudlicza 1848 niknie z widowni stara szkoła. Stara szkoła dawała potęgę dykcji, nowa przenosiła szerokie studja natury ludzkiej. Na czele obu teatrów staje Jasiński i inauguruje najświetniejszą dobę sceny naszej. Umysł to wprawdzie jednostronny, ale jako pracownik, pełen energji i niezrównany organizator. Za jego rządów reżyserja odgrywa pierwszorzędną rolę, szkoła dramatyczna schodzi na plan drugi i w końcu zostaje zaniedbaną. Nastaje z kolei trzecia doba: rządy Chęcińskiego, który z Jasińskim zupełny kontrast stanowi. Chęciński nie posiadając zalet organizatorskich Jasińskiego, przerasta natomiast poprzednika potęgą wiedzy, poetycznego natchnienia. Był to jak zauważył prelegent „Pegaz w jarzmie“. Za jego rządów scena odświeżona kilku młodemi talentami, nabrała barw kwitnącej siły i młodości. Wraz z tem jednak wzrasta mniemanie, że szkoła dramatyczna u nas niepotrzebna. Dwadzieścia lat mija, jak ją zamknięto. „Światło

przez nią rozszerzone w kilku nielicznych przedstawicielach tli jeszcze, ale następców po nich niema niestety, a co smutniejsza, niema szkoły, któraby ich wydać mogła!

* * *

Z teatrów warszawskich.

— Dość przychylnie przyjęła krytyka warszawska pierwszy występ pana Edmunda Rygera, który odegrał rolę Wojewody w „Mazepie“ nie bez zarzutu, ale z rutyną i znacznym stopniem dramatycznej siły. Teatrzyki ogródkowe zaczęły na dobre swą kampanję. W „Belle-vue“ trupa p. Puchniewskiego przedstawiła nową komedję p. Zygm. Przybylskiego „Państwo Wackowie“ będącą dalszym ciągiem „Wicka i Wacka“. Jak wszystkie dalsze ciągi, rzecz nie dorównywa sztuce poprzedniej, ale napisaną jest ruchliwie, z pogodnym a zdrowym humorem, ma dosyć scen wesołych i schwytanych z życia. W „Alhambrze“ trupa p. Szymborskiego, najlepsza pod względem personalu, wystąpiła z „Budnikiem“, którego przeniósł na scenę p. Ratyński z powieści Kraszewskiego. Całość przykrojona do wymagania ludowego dramatu, który bez tańców i śpiewów nie może liczyć na powodzenie wśród ogródkowej publiki. Przeróbka ta, dokonana z mniejszym kunsztem aniżeli roboty p. Mellerowej i Galasiewicza, chociaż z poszanowaniem autora. Do ustępów lirycznych ładną muzykę napisał Noskowski, który na tem polu dzierży zasłużenie monopol. Niezwykły ruch panuje w operze. Panna Angeloni młoda, ale bardzo dobra śpiewaczka z porywającym zapałem dramatycznym podobała się powszechnie. Prawdziwą furorę zrobił p. Aramburo, rodem hiszpan, *tenor di forza* o potężnym głosie i doskonałej technice.

— W Warszawie powstał zakład techniczny zajmujący się specjalnie wykonywaniem maszynerji, scen, wszelkich efektów i potrzeb teatralnych.

— Drugi Mozart. Donoszą, że w Londynie cieszy się ogromnem powodzeniem znany dobrze Warszawie z kilkakrotnych publicznych w roku zeszłym występów, dziesięcioletni pianista i kompozytor Józio Hofman, którego wprost nazywają „drugim Mozartem“. Nowa gwiazda na firmamencie sztuki ujrzała światło dzienne w Warszawie 20. czerwca 1877 r. Ojciec jego kapelmistrz i profesor warszawskiego konserwatorjum, był jedynym nauczycielem młodego Hofmana. Jakkolwiek mała rączyna wirtuoza nie może jeszcze objąć całej oktawy, niemniej jednak bez żadnego wysiłku i z wielkiem poczuciem wygrywa najtrudniejsze sztuki“.

* * *

— Wystawa muzyczna w Amsterdamie. Wystawa powszechna muzyki i przedmiotów do niej się odnoszących otwiera się we wrześniu r. b. w Amsterdamie.

Działy wystawionych przedmiotów będą następujące:

1. Instrumenty perkussyjne: bębny, cymbałki, dzwonki etc. etc.

2. Instrumenty dęte: flety, oboje, waltornie, trąby etc.

3. Instrumenty z rezerwoarem powietrza: organy, dydy, kobzy etc.

4. Instrumenty strunowe: *Pinaki* indyjskie, harfy, Psalteriony, lutnie, gitary, skrzypce etc.

5. Instrumenty klawiszowo-strunowe: szpinety, klawikordy.

6. Instrumenty zabawkowe: harmoniki, akkordeony etc.

7. Przyrządy pomocnicze przy nauce lub grze: diapazony, monochordy, syreny, metronomy, przyrządy akustyczne, materjały do pisania nut, pulpity, krzesła, battuty, układy sal muzycznych etc.

8. Druki i manuskrypta.

9. Rysunki, fotografje, medale, etc.

10. Ozdoby: znaki, chorągwie etc.

Przedmioty nadesłane być powinny przed 15. sierpnia. Deklaracje składane przed 15. lipca.

— Z okazji 78. rocznicy urodzin Haydna odbyło się w Wiedniu uroczyste odsłonięcie pomnika zmarłego mistrza, postawionego na skwerze, znajdującym się naprzeciwko kościoła Mariahilf. Posąg na trzy metry wysoki ukutym jest z kararyjskiego marmuru, dłuta artysty tyrolskiego Henryka Natlera.

— W Wiedniu uformowało się towarzystwo z kapitałem zakładowym, wynoszącym 500.000 guldenów, budujące nowy teatr popularny, zawierający 2000 osób i mający wojować niskiemi cenami wbrew wysokim cenom innych teatrów.

— W Berlinie budują trzy nowe teatra które mają być otwarte w 1888 roku, a mianowicie: *teatr ludowy* pod dyrekcją M. Barnaja; *teatr narodowy* przeznaczony na popularyzowanie produkcji zagranicznej, i teatr autora dramatycznego M. Blumentala, przeznaczony wyłącznie na sztuki autorów współczesnych nowe i niewydane.

— Włoski następca tronu przesłał Verdiemu balladę, na tle greckich dziejów osnutą, z prośbą, aby maestro podłożył doń muzykę na urodziny owej matki, królowej Małgorzaty. Verdi odpowiedział: Spędziłem półtorej godziny na czytaniu poezji Jego Królewskiej Mości; wyśpiewanie jej zajęło by mi dzień cały; ten zaś, który pod nią muzykę podkładać będzie powinien być o wiele młodszy od Waszego sługi Verdiego“.

— W akademii królewskiej w Monachium wykonano ustępy z opery „die Feen“, jednej z najpierwszych Wagnera. Zrobiła ona w ogóle dobre wrażenie.

— Nowa tragedja ks. Jerzego pruskiego „Konradin“ ukazała się w druku.

— W Monachijskim teatrze na sezon zimowy przygotowują dwa dramaty Marcina Greifa „Heinrich der Lowe i „Die Pfalz am Rhein“.

— Coquelin uorganizował świeżo Towarzystwo dramatyczne, z którem się puszcza w podróż po Europie.

— Z cenniejszych nowości muzycznych wymienimy nowe oratorium Grzegorza Vierlinga *Constantin*, wielką kompozycję chóralną *król Rother* pana Waldseer, dyrektora Lutni sztutgardskiej, oraz operę finlandzką Paciusza, wystawioną w Helsingforsie z powodzeniem. Autor ostatniej premiery liczy lat 76.

— Elektryczność w teatrach. Władze miejskie Lyonu, Madrytu i Brukseli rozesłały do właścicieli teatrów miejscowych okólnik, mocą którego zaprowadzone ma być w przeciągy 5—6 miesięcy we wszystkich teatrach oświetlenie elektryczne.

* * *

Zmarli.

— We Lwowie zmarł po długiej chorobie Aleksander Karol Podwyszyński.

Był on jednym z tych trzech „muszkieterów“, którzy opuściwszy przed dwudziestu czterema laty w styczniu ławy szkolną rzeszowskiego gimnazjum — znaleźli się potem w teatrze lwowskim, i nie mało się przyczynili do podniesienia sceny na ten poziom, na jakim się znajdowała, aż do śmierci Stanisława Dobrzańskiego.

Nazwiska ich: Marceli Zboiński, Gustaw Fiszer i zmarły Podwyszyński.

Zmarły był artystą odznaczającym się przedewszystkiem wykształceniem i inteligencją.

Z takiemi to zasobami — a niepozbawionemi przytem wybitnych zdolności, rozpoczął Podwyszyński swoją karjerę sceniczną.

Dobry informator i reżyser, kolejno był artystycznym kierownikiem teatrów w Krakowie, Lwowie i Poznaniu — ciesząc się wszędzie uznaniem publiczności.

Kilkanaście utworów scenicznych przyswojonych naszej literaturze, odznaczają się głębszą wartością, i poprawnym przekładem; dramaty zwłaszcza tłómaczone białym wierszym dowodzą zrozumienia ducha języka i zdolności tłómacza.

Dział charakterystycznych ojców i „rezonerów“, najlepiej odpowiadał jego uzdolnieniu, i w tym właśnie kierunku zmarły piękne po sobie zostawia wspomnienia.

— Eugenia John, znana powieściopisarka niemiecka pod pseudonymem E. Marlit, autorka popularnych romansów, drukowanych w „Gartenlaube“, z których wiele tłumaczono na język polski; główne dzieła: „Goldelse“ (1866), „Blaubart“ (66), „Geheimniss der alten Mamsell“ (67), „Reichsgräfiin Gisela“ (69), „Heideprinzesschen“ (71), „Zweite Frau“ (74). „Im Hause d. Komerzienrats (76), „Im Schillingshof“ (79), „Amtmanns Magd“ (80), „Frau m. d. Karfunkelsteinen“ (85), zmarła w Arnstadt w Turyngji.

Skrzynka grafologiczna.

P. S. K...i w Gorlicach. Pismo pańskie zdradza sporą dozę energji, jesteś pan upartym i w postępowaniu swem konsekwentnym. W domu wszystkich tyranizujesz i nie znosisz sprzeciwienia się swoim poleceniom. W pożyciu towarzyskiem elegancki i miły.

P. Z. P. w Krakowie. Charakter niewyrobiony, słaby. Chwiejny w postanowieniach, nadzwyczaj uczuciowy, czasem nawet sentymentalny.

Za rozwiązanie łamigłówki przeznacza się jako premię Lenartowicza „ALBUM WŁOSKIE.

Za rozwiązanie zadania konikowego przeznacza się jako premię Zygmunta Sarneckiego „OWALE I PROFILE“.

ZADANIA.

I. Łamigłówka.

Z następujących zgłosek ułożyć sześć słów, których początkowe litery z góry na dół czytane dają nazwisko znanego powieściopisarza, a końcowe litery w tymże czytane porządku, jedno ą jego dzieł.

bis, da, dom, eu, ke, le, le, łoch, me, ni, ra, re, kup, u, we, wel, wo.

1. Dostojnik duchowny.
2. Jezioro w Afryce.
3. Słynny historyk.
4. Narodowość.
5. Bóstwo greckie.
6. Miasto w Rosji.

II. Zadanie konikowe.

pną	a tu	kry	dem
te	a tu	się	żej
ni	dem	lo	trza
zda	os	bli	przo

brze	ra	mię	ty		żej	le		w nie	za	z win	i ró
pa	alp	giem	włos	pod	tam	bo	po	pią	że	wa	wzgó
zio	kim	ni	tasz	nad	że	dnym	ka	spły	rze	bluszcz	nic
gra	czy	je	nó		gór	ty		je	ka	rzem	wzgó

czy	ne	nad	rajem
alp	roz	pa	ki
włoch	tasz	szo	giem
wie	śnie	błę	mię

Rozwiązanie zadań z XII. zeszytu.

Zadanie szachowe Nr. XI.

Białe:	Czarne:
1. b 5 — d 6	e 5 bije d 4
2. d 8 — c 6 +	d 4 — c 5
3. d 2 — b 4 mat.	

A.

1.	h 4 dowolnie.
2. d 8 — c 6 +	e 5 — e 6
3. e 4 — f 5 mat.	

Logogryf.

Okręt, **d**zieło, **r**owy, **z**mowy, **y**lang, **k**aszel, **o**mar, **n**ogi.

Odrzykoń.

Trafne rozwiązania nadesłali pp. Jabłoński Burkanów, Kisielewski Gorlice, Soroczyński Kuty, Nazarewicz Łańcut.

Przy losowaniu premją wygrał p. Seweryn Kisielewski w Gorlicach.

Zegar magiczny Nr. 3.

Lepszy funt szczęścia jak cetnar rozumu.

Zacząć w wszystkich kołach od godziny 1.

Trafne rozwiązania nadesłali: Hładyłowicz Niemirów, Iwanicki Borysław, Akademickie Bractwo Lwów, Mrazek Libusza, Jabłoński Burkanów, Tyszkowski Majdan sieniawski, Nitsch Kraków, Dziubińska Lwów, Heniszowa Korościatyn, Bernacka Kraków, Argasińska Zborów, Kisielewski Gorlice, Wurst Kossów, Paczoski Gorlice, Józefowicz Długie, Piszklewicz Starasól, Lehman Wyżnica, Gaszyński Żelazówka, Rydel Rzeszów, Soroczyński Łańcut, Leitner Lwów.

Przy losowaniu premję wygrała pani Argusińska w Zborowie.

Rozwiązania zadań z XIII. zeszytu.

Zadanie szachowe Nr. XII.

Białe:	Czarne:
1. f 2 — g 4 +	g 5 bije g 4
2. f 1 — f 5 +	e 5 bije f 5
3. d 1 — d 5 mat.	

Trafne rozwiązanie nadesłał p. N. N. w Stryju.

Zadanie konikowe,

Wy się trwożycie tą liczbą ogromną
I tą przemocą, co się zda niezłomną?
Cóż jednak znaczy taka ćma motłochu
Wylęgła w prochu, czołgająca w prochu,
Którą do boju popędzają biczem,
Aby nie pierzchła przed wolnych obliczem!
Jakąż nad nami może mieć przewagę,
Zgięty niewolnik, którego odwagę
Nikt nie ocenia, — co bez łez umiera.
A gdy zwycięży....

J. R. 1887.

Trafne rozwiązanie nadesłali pp. Jabłoński Burkanów, Heniszowa Korościatyn, Hausser Kołomyja.

Przy losowaniu premję wygrał p. Jabłoński w Burkanowie o. p. Złotniki.

Szarada.

Salisbury.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: N. N. Stryj, Hładyłowicz Niemirów, Józefowicz Długie, Iwanicki Borysław, Druck Celejów, Akademickie Bractwo Lwów, Mrazek Libusza, Jabłoński Burkanów, Dryliński Pełkinie, Tyszkowski Majdan sieniawski, Nitsch Kraków, Heniszowa Korościatyn, Soroczyński Kuty, Fyda Jastrzębia, Wurst Kossów, Argasińska Zborów, X. Skomorowski Berezowica wielka, Paczoski Gorlice, Kisielewski Gorlice, Piszklewicz Starasól, Lehman Wyżnica, Gaszyński Żelazówka, Magistrat Stary Sącz, Nazarewicz Łańcut, Zadurowicz Stanisławów.

Przy losowaniu premją wygrał p. Iwanicki w Borysławiu.

Korespondencja Redakcji.

P. Z. P. w Krakowie. Nadesłana szarada nie będzie umieszczoną w „Ruchu“.

P. Argasińska w Zborowie. Czy wylosowaną dla pani premję mamy wysłać do Zborowa, czy też do Stanisławowa?

Panów Autorów i Wydawców życzących sobie oceny swoich dzieł w „RUCHU“ upraszamy o nadesłanie dwóch egzemplarzy.

TREŚĆ: Piekiełko, powieść Michała Wołowskiego. — Poezja: Siedmioletniego raz syna, wiersz (M. Rodoć). — Jad, powieść Al. Kiellanda. — Ruch naukowy: Dusza w powłoce powietrznej, fantazja naukowa Kamila Flammariona. Zbrodniarz z urodzenia. Najdawniejszy rękopis J. I. Kraszewskiego, notatka bibljograficzna. — Kronika powszechna. — Ruch kobiecy: Uwagi o robotach ręcznych przez Justynę Gostyńską. Jaki był koniec procesu Bureckich, nowela, z oryginału węgierskiego przełożył H. K. Aforyzmy. Kroniczka dla kobiet. — Ruch literacki i artystyczny: Przegląd teatralny. Z wystawy zjednoczonych towarzystw sztuk pięknych we Lwowie napisał A. N. Salon paryski. Kronika literacka i artystyczna. — Skrzynka grafologiczna. — Zagadki. — Rozwiązania. — Korespondencja Redakcji.

Drukarnia Polska pod zarządem Kl. Huczkowskiego. Odpowiedzialny za redakcję: Adolf Inlender.